Myśl Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT—MONTHLY REVIEW

Nr 114 (Rok VII, Nr 9) Wrzesień, 1947 Cena (Price) 2/-

WARUNKI SKUTECZNEJ AKCJI

DWA zjawiska zmuszają nas do coraz pilniejszego zajmowania się polityką zagraniczną.

Pierwsze—to pogłębiający się podział świata na dwa wrogie obozy: jednemu, jak wiadomo, przewodzą Stany Zjednoczone, drugi organizuje na swoją modłę Rosja Sowiecka. Prowadzi to do nieuchronnego konfliktu, powoduje dużą ruchliwość obydwu partnerów na gruncie międzynarodowym. Niezależna polityka polska powinna się przygotować do wzięcia czynniejszego udziału w okresie zarysowujących się zmian w świecie.

Drugie zjawisko — to likwidacja t. zw. jawnej opozycji w krajach Środkowo-Wschodniej Europy. Kończą się złudzenia tych, którzy naiwnie wierzyli że można w obrębie systemu sowieckiego uprawiać bezkarnie opozycję i usunąć od władzy komunistów zapomocą kart i wyborczej. Wyraża się ona w zamykaniu partji opozycyjnych, w procesach i aresztowaniach, zabójstwach i tępieniu ogniem i mieczem wszystkiego, co staje w poprzek sowieckiemu dążeniu do opanowania swojej strefy wpływów. Ucieczka premiera węgierskiego, przywódcy drobnych rolników Nagy, aresztowanie prezesa rumuńskiej Partii Chłopskiej Maniu, skazanie na śmierć szefa bułgarskich ludowców Petkowa, oraz wyraźna zapowiedź rozprawienia się z Polskim Stronnictwem Ludowym na krakowskim procesie Mierzwy i tow. — oto kolejne przykłady gruntownego tępienia opozycji. Dodajmy, że jest to nie tyle walka z partiami agrarnymi tych krajów, ile rozprawa z całą warstwą chłopską, należącą do różnych stronnictw (w Polsce głównie do dwu: Ludowego i Narodowego), która organicznie jakby nie znosi komunizmu i gospodarki kolektywnej.

Po likwidacji opozycji cisza zalegnie kraje Środkowo-Wschodniej Europy. Jedynym miejscem skąd rozlegać się będzie wolny głos ujarzmionych narodów stanie się zagranica, środowiska rozsianej na Zachodzie emigracji.

Zwiększone obowiązki w dziedzinie polityki zewnętrznej wymagają wewnętrznego skupienia i zespolenia wszystkich sił, które dążą do odbudowy niepodległego Państwa Polskiego.

W jakim stanie znajduje się dziś emigracja polska?

Daleko nam do stanu doskonałości i mamy poważne wątpliwości czy go w ogóle osiągniemy. Tendencje odśrodkowe wywołane po śmierci Prezydenta Raczkiewicza, jeszcze trwają, choć niewątpliwie straciły na ostrości. Za dużo miejsca zajmuje gra wewnętrzna, partykularyzmy grupowe zamiast troski o los całości, o politykę zewnętrzną.

Nie mniej proces scalania i porządkowania spornych spraw posunął się nieco naprzód.

Utrwala się instytucja legalnego Prezydenta. Uniknęliśmy widma dwu głów Państwa. Formalnie nowy Prezydent jest już właściwie niekwestionowany. Od niego samego teraz zależeć będzie w dużej mierze faktyczne sprawowanie przysługującej mu władzy. Formalne uprawnienia nie wystarczą, trzeba je będzie stosować z dużym umiarem, dzieląc się odpowiedzialnością, ażeby nie ulec pokusie jedynowładztwa, jaka wyziera z obowiązującej konstytucji 1935 r.

Zagadnienie rządu zostało załatwione w ten sposób, że powstał gabinet z gen. Borem-Komorowskim w dotychczasowym składzie bez dwu ministrów socjalistycznych. Jest to rząd przejściowy, który ma utorować drogę nowemu rządowi. Trudno dziś przesądzać, jaki będzie skład przyszłego gabinetu, jaka jego struktura. Należałoby dążyć do utrzymania na czas walki o państwo polskie koalicji stronnictw, mających oparcie w kraju. Stąd pożądane jest ażeby socjaliści wrócili. Oczywiście nie można tego dokonać wbrew woli PPS. Dopóki Komitet Zagraniczny PPS nie zajmie wyraźnego stanowiska w sprawie dróg polityki polskiej trzeba poczekać, bądź gdyby za długo trwały namysły w PPS, wypadnie tworzyć nowy rząd bez socjalistów. I w tym wypadku jesteśmy zwolennikami zachowania systemu stronnictw, uzupełnionego w razie potrzeby t. zw. fachowcami. System jednej zbawczej grupy, bądź t. zw. rząd centrowy odrzucamy, gdyż nie miałby on potrzebnego oparcia w masach i dzieliłby, a nie łączył.

Trzeci i ostatni problem reprezentacji politycznej, a raczej wyłonienia nowej reprezentacji (dotąd funkcje te spełnia Rada Polskich Stronnictw Politycznych), nastręcza wiele praktycznych trudności. Dopóki nie można będzie powołać przedstawicielstwa politycznego w drodze wyborów, pozostają na placu jako jedyne niezależne formacje stronnictwa polityczne. Projekty sprawowania kontroli nad działalnością rządu a nawet prawo zmieniania rządu, jakie niektórzy chcieliby dać Radzie Państwowej, nielicznej i mianowanej przez Prezydenta, nie trafiają nam do przekonania. Jesteśmy również przeciwnikami wciągania do reprezentacji politycznej delegatów organizacji społecznych. Wiemy, że organizacje te nie są związane z dołami, powstały w szczególny sposób i nie po to, aby prowadzić politykę. Obawiamy się, że walki polityczne przeniosłyby się wtedy na teren organizacji społecznych i zakłóciły i tak już niezbyt spokojny bieg spraw w tych związkach.

Reprezentacja polityczna winna się składać przede wszystkim z przedstawicieli stronnictw politycznych, oczywiście stronnictw z prawdziwego zdarzenia. Nie trzeba powiększać i tak już za dużego rozproszkowania politycznego i nie wolno operować fikcjami. Obok delegatów stronnictw, wybieranych przez dane ruchy polityczne, mogłyby do reprezentacji takiej wchodzić w niewielkiej liczbie indywidualnie dobrane wybitne jednostki nie związane z życiem partyjnym.

Od pomyślnego rozwiązania wymienionych problemów zależy skuteczna działalność emigracji na gruncie niędzynarodowym. Im gruntowniej załatwimy sprawę rządu i reprezentacji politycznej, tym lepiej przygotujemy się do odegrania trudnej roli w nadchodzącym okresie polityki światowej.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

POLSKI PROBLEM SPOŁECZNY

1. *DYSKUSJA O INTELIGENCJI*

(*Dlaczego ten problem wysuwa się na czoło. Zagadnienie polityczne. Zagadnienie kulturalne. Zagadnienie społeczno-gospodarcze leży gdzie indziej. Prawdziwy problem społeczny ukrywany.*)

PRZEZ KRAJ i emigrację przeszła w ostatnim roku burzliwa, choć może niezbyt głęboka fala dyskusji na temat inteligencji polskiej.

Uwerturę stanowił wykład inauguracyjny prof. Chałasińskiego na otwarciu Uniwersytetu Łódzkiego w r.ub. Z tego wykładu wywiązała się w prasie krajowej obszerna dyskusja, utrzymana oczywiście w ramach dopuszczalnej dyskusji nad "nową rzeczywistością", w której zabierali głos marksiści jak Kott i Żółkiewski, katolicy jak Kętrzyński, a odpowiadał im Chałasiński trzema aż studiami na ten temat. Na emigracji obszerniejszą krytykę tez Chałasińskiego przeprowadził Ulatowski, a i tematyka broszury Wańkowicza *Kundlizm*, choć ujęta felietonowo, jest z tego samego zakresu.

W gruncie rzeczy w całej tej dyskusji nie padły nowe istotne myśli, nie wysunęły się nowe problemy, których byśmy nie znali z *Myśli nowoczesnego Polaka* Dmowskiego, *Legendy Młodej Polski* Brzozowskiego czy *Genealogii teraźniejszości* Świętochowskiego. Problem sam w sobie nie jest nowy a publicystyka lewicowa ujęła go w sposób tradycyjny, jako rozrachunek z przeszłością, walkę z resztkami szlachetczyzny, okraszoną frazeologią o elicie chłopsko-robotniczego narodu, w którą ma się inteligencja polska przekształcić. O właściwym problemie społecznym, to jest o roli inteligencji w zarysowującym się po-kapitalistycznym społeczeństwie w świecie i o jej związku z nowymi problemami układu społecznego w Polsce próżno byśmy szukali czegoś poważniejszego.

Nie ma w tym nic tak dziwnego. Polska, odcięta całkowicie od Zachodu przez lata wojny a obecnie odseparowana od niego "żelazną kurtyną" nie tyle granic co cenzury, nie zna nowych problemów społecznych szerokiego świata. Dyskutowana szeroko rola powstającej na Zachodzie nowej warstwy społecznej, *managerial class*, która ma wiele wspólnego z polskim pojęciem warstwy inteligenckiej a jeszcze więcej może z tym, czym ta inteligencja się stawać obecnie zaczyna, jest polskiej myśli krajowej obca. Swobodne badanie przemian układu społecznego w Polsce nie jest możliwe, ponieważ badania mają się obracać w ramach myślenia materialistyczno-dialektycznego i te objawy życia, które są sprzeczne z założeniami Marxa, muszą być lekceważone lub "wyinterpretowane". Jeżeli więc prąd samorzutnych dążeń społecznych przeciwstawia się planowi rządu marksistowskiego, publicystyka krajowa nie podejmuje próby wytłumaczenia ani obrony na większą skalę prądu społecznego.

Dlatego cała dyskusja o inteligencji wisi w powietrzu, nie powiązana z całością problematyki społecznej współczesnej Polski. Dlaczego więc ten właśnie problem wysunął się na czoło?

Pobudką bezpośrednią może być szczególna *self-consciousness* inteligencji polskiej, wynikająca z nienormalności struktury społecznej Polski. Polska nie miała rozwiniętych wszystkich warstw społecznych. Na tle braku warstwy mieszczańskiej i wielkochłopskiej, niedorozwoju robotniczej, a zanikania ziemiańskiej, inteligencja sterczała jak wyniosła skała i skupiała na sobie uwagę społeczeństwa, a przede wszystkim swoją własną. Stąd to przesadne u inteligentów zainteresowanie własnymi problemami.

Na głębszą i ważniejszą przyczynę wskazał Ulatowski. Problem inteligencji polskiej w chwili obecnej jest przede wszystkim problemem politycznym. Zachowanie bytu narodu polskiego w czerwonym cieniu wschodniego olbrzyma jest w niemałej mierze zagadnieniem zachowania ciągłości historycznej cywilizacji polskiej poprzez inteligencję. Naród polski przetrwa obecny okres, jeżeli cywilizacja polska i polska świadomość polityczna zostaną zachowane w nowym pokoleniu inteligencji, jeżeli poprzez nią utrwalą się w masach. Stąd słusznie społeczeństwo polskie interesuje się tak problemem inteligencji jako problemem polityczno-kulturalnym. Interesuje się nim i dlatego, że ta warstwa jest najbardziej zagrożona. Niemcy przez sześć bezmała lat starali się ją zniszczyć i przetrzebili ją ogromnie. Rządy kierowane przez bolszewików starają się dzieła niemieckiego dokończyć z innej strony, już nie tyle niszczeniem fizycznym i gospodarczym ile korupcją i wciąganiem w tryby obcej cywilizacji. O dobrze zagrożonym mówi się zawsze najwięcej, jak powiada włoskie przysłowie: "język zawsze zwraca się w stronę chorego zęba".

Nie o problemie politycznym wszakże piszą tyle publicyści krajowi, ale o problemie społecznym czy "socjologicznym" inteligencji w Polsce. Jeżeli marksiści krajowi tyle energii poświęcają na walkę ze "szlacheckością" inteligencji polskiej, to widocznie albo nie dostrzegają innych większych problemów społecznych, albo wolą o nich nie pisać. I tu jest jeszcze jedna, bynajmniej nie najmniejsza, przyczyna, dlaczego w sztucznej pustce publicystyki krajowej, gdzie nie można dyskutować otwarcie większości problemów politycznych, kulturalnych, gospodarczych i nawet społecznych, dyskusja na dopuszczony temat inteligencji rozrasta się, jak ów opisany w *Myślach nowoczesnego Polaka*, ptak nie mający na swojej wyspie współzawodnictwa—do nieproporcjonalnych rozmiarów.

Zostawiając na boku polityczno-cywilizacyjny aspekt spraw inteligencji i ograniczając się do właściwego społecznego zagadnienia, nie trudno dojść do wniosku, że to zagadnienie nie jest największe ani najbardziej palące, że za nim kryją się inne większe, że oświetlanie reflektorami dyskusji fasady gmachu społecznego ukrywa rzeczywistą jego konstrukcję i pogrąża w ciemności prawdziwy problem społeczny Polski współczesnej.

Polska w ostatnim dziesięcioleciu przeszła rzeczywistą rewolucję społeczną. W tej rewolucji rola inteligencji jako warstwy społecznej uległa najmniejszym, a nie największym w porównaniu z innymi warstwami zmianom. W ciągu tego dziesięciolecia jedne grupy społeczne zniknęły, inne się wyłoniły, jeszcze inne zmieniły swoje miejsce w społeczeństwie. Inteligencja, przetrzebiona, zbiedniała, nieco zmieniona, pozostała przecież na swoim miejscu i zarówno profesor Chałasiński, jak jego krajowi oponenci, czy nawet Wańkowicz, mogliby wszystko to samo, co piszą obecnie, pisać o niej przed dziesięciu laty.

Warto się pokusić o próbę dojrzenia istotnego problemu społecznego współczesnej Polski. Leży on poza zagadnieniem inteligencji i jej rola społeczna może się zmienić dopiero w wyniku tych innych przemian i przewrotów. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że zależnie od wyniku walki społecznej, jaka się w Polsce toczy, inteligencja polska albo w ogóle przestanie istnieć jako coś odrębnego, albo stanie się czymś tak normalnym, że nie będziemy o niej wiele w przyszłości dyskutowali.

Żeby zrozumieć, na czym polega rzeczywisty problem społeczny polski, trzeba określić, na czym polega to, co nazwaliśmy rewolucją społeczną Polski w ostatnim dziesięcioleciu.

2. *REWOLUCJA SPOŁECZNA W POLSCE*

(*Czego dokonali bolszewicy. Dzieło Niemców i wojny. Miejsce dla nowych warstw. Reakcyjne rządy.*)

W kraju pisze się obecnie wciąż o odbywającej się rewolucji społecznej. Wspominanie o niej stanowi nawet niejako niezbędny ornament każdego wystąpienia publicystycznego autorów stojących na gruncie reżimu. Nie wspominanie o niej dowodzi uprawiania zaciętej reakcyjnej opozycji i nie wielu tylko pisarzy sobie na to pozwala. Już samo podkreślanie ustawiczne tej rzekomej rewolucji społecznej budzić może wątpliwości, czy odbywa się ona rzeczywiście, a przynajmniej czy odbywa się w tym sensie, jaki jej chcą nadać publicyści reżimowi. Wygląda bowiem jakby chcieli oni wmówić sobie i czytelnikom, że to, co się dzieje, jest rewolucją społeczną. Widocznie w ich własnej świadomości i w świadomości mas istnieje poważna wątpliwość, czy to jest rewolucja społeczna.

Słowa: rewolucja społeczna—są w naszej epoce nadużywane. Nie każda przemiana jest rewolucją i nie każde przeobrażenie społeczne, nawet gruntowne i dość szybkie, zasługuje na tę nazwę. Z pojęciem rewolucji łączy się nieodmiennie obalenie istniejących form społecznych poprzedzające powstanie nowych. Łączy się także pewien ruch, świadomość grup ludzkich, że w zachodzących przemianach biorą czynny udział. Tym, co zwraca uwagę w rewolucji, co nadaje jej kształt i barwę, tworzy obraz w świadomości społeczeństw, jest właśnie jej część destrukcyjna, obalenie form istniejących. Rewolucja francuska, to przede wszystkim obalenie przywilejów stanowych i instytucji monarchicznych, rewolucja rosyjska to wywłaszczenie kapitalistów i ziemian, obalenie instytucji caratu i cerkwi. Jakie jest dzieło rewolucyjne reżimu marksistowskiego w Polsce? Co obaliła "demokracja społeczna" w drodze rewolucyjnej? Jakkolwiek dziwne na oko może się to wydawać, nie obaliła prawie nic.

U wstępu swego na ziemię polską w r. 1944 i 1945 armia sowiecka pod firmą Komitetu Lubelskiego (a więc nawet nie ci ludzie, którzy tworzą dziś "blok demokratyczny") przeprowadziła reformę rolną, a ściślej pośpieszną i nieporządną parcelację istniejących jeszcze majątków ziemskich. Jest to właściwie jedyne dzieło o charakterze rewolucyjnym dokonane w Polsce przez nowy reżim. Obyło się ono bez większego oporu.

Ziemiaństwo polskie zaczęło parcelować swoje majątki jeszcze przed Pierwszą Wojną Światową. Wojna ta proces dobrowolnej parcelacji znacznie przyśpieszyła. Ustawa o reformie rolnej, wykonywana przez blisko dwadzieścia lat, zmniejszyła obszar ziemi posiadanej przez wielką własność do około 14% ogólnego obszaru ziemi. W r. 1939 Niemcy wywłaszczyli wielką własność rolną w województwach poznańskim, pomorskim, łódzkim i północnej części warszawskiego. W tym samym czasie Sowiety wywłaszczyły całą wielką własność na wschód od linii Ribbentrop-Mołotow. W "Generalnej Gubernii" wiele majątków zostało skonfiskowanych lub obsadzonych "Treuhaenderami". Przed nadejściem armii sowieckiej właściciele i "powiernicy" Niemcy uciekli poza Odrę i Nisę.

Przekonanie o konieczności zupełnej parcelacji wielkiej własności ziemskiej stało się w społeczeństwie polskim w czasie wojny ostatniej powszechne. Wszystkie partie polskie stały na tym stanowisku. Ziemiaństwo pozbawione było zupełnie obrońców i co do losu swego zrezygnowane. W tych warunkach przeprowadzenie parcelacji w środkowej Polsce było usunięciem szczątków, ledwie zasługującym na nazwę posunięcia rewolucyjnego.

Poza tym nic prawie w Polsce do obalania rewolucją społeczną nie było. Sądzę, że wielu komunistów polskich żałowało tego i że ich niewyżyty kompleks rewolucyjny przejawia się obecnie rewolucyjnym słownictwem. Parcelacja pozbawiła także ostatnich społeczno-rewolucyjnych akcentów, w tradycyjnym sensie, ruch ludowy. W braku kapitalistów, ziemian, burżuazji — trzeba było wyszukiwać wroga klasowego aż w inteligenckim "saloniku", żeby jakoś zgalwanizować choć odrobinę własne rewolucyjne nastawienie.

W chwili wkroczenia wojsk sowieckich i z nimi "demokracji" do Polski negatywne, destrukcyjne dzieło rewolucji już było dokonane. Dokonały go trzy czynniki: świadoma niszczycielska działalność Niemców, wydarzenia wojenne i samoobrona społeczeństwa polskiego.

Już najazd niemiecki w 1939 r. wywołał masową wędrówkę ludzi i porzucenie przez nich dotychczasowych warsztatów pracy. Następnie, w tymże roku Niemcy dokonali wywłaszczenia kapitału polskiego i zachodniego w Polsce zachodniej, kapitału zachodniego i państwowego w Polsce środkowej, zaś Rosjanie kapitału prywatnego i publicznego w Polsce wschodniej. Większy kapitał przemysłowy i handlowy polski został w następnych latach zniszczony i w Polsce środkowej. Potem przyszło wywłaszczenie i bestialskie wymordowanie Żydów. Klęska Niemiec spowodowała wywłaszczenie całej własności niemieckiej. Powstanie warszawskie zniszczyło kapitały, w najszerszym znaczeniu, mieszczaństwa stołecznego, a działania wojenne 1944/45 odegrały tę samą rolę w dużej ilości miast i miasteczek całego terytorium narodowego. Można powiedzieć śmiało, że z końcem r. 1944 kapitalizm w Polsce nie istniał, a własność prywatna była reprezentowana tylko przez chłopów i drobnomieszczaństwo usunięte z zachodu i wschodu, a w środku pozbawione swej żydowskiej większości.

Okupacja niemiecka odebrała dotychczasowe podstawy bytu ogromnej większości pracowników umysłowych i wolnych zawodów. Niemcy zamknęli szkoły wyższe i średnie ogólnokształcące na conajmniej pięć lat. Przez wymordowanie Żydów stworzyli lukę w wielu gałęziach handlu i drobnego przemysłu. Młode pokolenie inteligenckie a także część robotniczego i nawet chłopskiego zajęło się handlem czy wytwórczością. Wprawdzie nie była to najczęściej działalność ekonomicznie zdrowa ani kształcąca do regularnego życia gospodarczego, wielu się na niej wykoleiło, ale była ona pomostem, po którym nie jednostki już lecz wielkie grupy z innych warstw przeszły do handlu i drobnego przemysłu.

Wspólność położenia, jego zupełna zawisłość od rozwoju wydarzeń politycznych, obniżenie poziomu życia warstw wyższych, zamknięcie szkół i stała presja okupanta spowodowały znaczne zatarcie się różnic klasowych, doprowadzając równocześnie do wysokiego napięcia poczucie solidarności narodowej, wzmocnione jeszcze rozgałęzioną organizacją czarnego rynku, obejmującą większą część życia gospodarczego.

Kto po kilkuletniej przerwie zetknął się z młodzieżą polską różnych warstw, nie mógł nie zauważyć podwójnego zjawiska: młodzież inteligencka obniżyła swój poziom intelektualny, moralny i obyczajowy, zwiększając swą ruchliwość i spryt, młodzież robotnicza i w znacznej mierze chłopska podniosła swój poziom zainteresowań umysłowych, znajomość świata i przedsiębiorczość. Wprawdzie już przed wojną podobny proces dawał się zauważyć, lecz wojna przyśpieszyła go niezmiernie. Dziś trudno jest poznać w pierwszej chwili z jakiej klasy społecznej pochodzi młodzieniec, z którym się ma do czynienia.

Bolszewicy, wchodząc więc do Polski zastali stan społeczny bliski *tabula rasa*. Zdawałoby się, że tak przeorane, zniwelowane i wstrząśnięte społeczeństwo nadaje się w wysokim stopniu do ustroju komunistycznego, że w połączeniu z nieuniknionym załamaniem nastrojów po wojnie objęcie całego życia przez aparat bezpośrednio zależny od centrali moskiewskiej nie będzie rzeczą zbyt trudną. Tak sądziła część komunistów polskich. Już jednak pierwsze doświadczenia wykazały, że tak nie jest i że rację ma kierunek łagodniejszy, "ewolucyjny" w Kompartii. Przyczyny tego były nie tylko polityczne, ale i społeczne.

Trudności międzynarodowe i wewnętrzne Sowietów utrudniały na prawdziwie wielką skalę zakrojoną "likwidację polskiej reakcji". Rozbudzona po raz pierwszy w tym stopniu i w tym zasięgu przez wojnę świadomość narodowa mas polskich nie stwarzała atmosfery przychylnej. Kilkoletnie igranie z niebezpieczeństwem życia w codziennych, nieraz błahych sprawach, do jakiego zmusiła wszystkich Polaków polityka niemiecka, uczyniło społeczeństwo mało podatnym na działanie terroru. Największa zaś może trudność była w aparacie ludzkim: jedyne bardziej masowe oparcie miał komunizm w Polsce wśród młodszego pokolenia żydowskiego, a to zostało wymordowane; kupić czy przymusić można było wielu ludzi, ale oportunista nigdy nie zastąpi ideowca, a rewolucji nie przeprowadza się urzędnikami, czy konfidentami.

Jednakże powyższe przyczyny, polityczne, nie tłumaczą wszystkiego, a raczej tłumaczą niezbyt wiele. Pod nimi jest przyczyna społeczna, z której wielu Polaków, nawet w kraju, nie zdaje sobie sprawy. Przyczyną tą jest, że kierunek reprezentowany przez komunizm jest w Polsce współczesnej przeciwny naturalnemu kierunkowi rozwoju społecznego.

Upadek społeczny Polski szedł od XVII-go wieku *decrescendo* i przed stuleciem społeczeństwo polskie składało się głównie z dwóch warstw: masy chłopskiej i szlachty. Inteligencja miejska i specjalna warstewka oficjalistów były ledwie odroślą szlachty, lud miejski (bo o klasie robotniczej trudno jeszcze wtedy mówić) był świeżą odroślą warstwy chłopskiej. Słaba niezwykle warstwa mieszczańska składała się przeważnie z Żydów lub Niemców. Ostatnie stulecie pod względem społecznym wypełnia, prowadzona w nader niepomyślnych warunkach, walka "dołu" polskiego o wypełnienie sobą "środka".

Walka ta dała pomyślny w pełni rezultat tylko w b. zaborze pruskim. Gwałtowny rozwój przemysłu niemieckiego odciągnął z ziem polskich nie tylko Żydów, ale i bardziej obrotny element niemiecki. Zbyt produktów rolnych Wielkopolski na Zachodzie podnosił poziom życia gospodarczego kraju. Syn chłopa zachodnio-polskiego szedł do miasta, zostawał kupcem lub rzemieślnikiem, a wnuk zostawał zamożnym mieszczaninem lub członkiem wolnego zawodu. W b. zaborze austriackim syn chłopa często zostawał urzędnikiem, ale w praktyce zrywał wtedy ze wsią i wadliwa struktura społeczna nie ulegała zmianie. B. zabór rosyjski, przykuty do olbrzymiego ciała znacznie niżej cywilizacyjnie a także pod względem rozwoju społecznego stojącej Rosji, wytworzył wprawdzie kilka większych skupisk warstwy robotniczej, ale w braku rodzimego kapitału i rodzimego mieszczaństwa świeża warstwa robotnicza nie wydawała ze siebie handlowców, ani przemysłowców, a szeregi inteligencji zasilała tylko w bardzo drobnym odsetku.

JERZY PIETRKIEWICZ

NORWID

W podmurnych się zdrowaśkach wygrzewali dziadowie
częstochowscy.
Z nad zaścianków ranne wstały zorze.
Jak trudno milczącemu odpocząć tu, w mowie,
gdzie sejmik pulchnych świątków epigoni włoscy
zwołali do nisz, kadząc, mgląc profile Boże.
Tu łatwo swą strzelistość wielbią dzwonne wieże,
wyprawiając za morza koczownicze ptaki,
i łatwo kołowrotki klechdy przędą z wierzeń,
skoro bard do ech obcych przymierza chodaki —
i marzy, że dym z fajki zabłądzi pod strzechy,
zmiesza się z sadzą swojską, i odkadzi grzechy
jaśniepana i kmiotka, kniazia i siczowca
więc cierpią rymy trzynastozgłoskowca
za milijony . . . .
Tobie kołodziejowych jak się odkuć rysów
poprzez ironii skrzep?
Stylem jak odbić epigoński tynk,
by skargę szczerbić o pra-słoje cisu,
co krzywy podpiera sklep
ukrzyżowanym trudem zwisłego ramienia.
W urągowisku światłocienia
kształtów zaprzaństwo.
Nie pospolita rzecz,
lecz pych poddaństwo
na dzikich polach proroctw i blagi.
Tutaj jeno na łąkach bocianie areopagi,
jeno po dziuplach niema mądrość sów . . . .
Od żebraczych zdrowasiek, od melancholii krów,
zapatrzonej naprzełaj, gdzieś,
od wierzb zmierzwionych łbów,
potakujących drodze, gdy gdacze do wtóru wieś,
od ptasich wiosną emisariuszy
od —
kto myśl wyzwoli, wysupła z rzewnych skojarzeń,
kto wstrzyma serce, a mózg wzruszy —
i profil nakłoni ku twarzy
o głowy zwrot.

Chelsea, 15 sierpnia 1947

JERZY PIETRKIEWICZ.

W ciągu dwudziestolecia niepodległości stan ten uległ pewnej poprawie, a dążenie chłopów do miast było bardzo silne. Pewna ich ilość poprzez spółdzielczość weszła do handlu. Powstała warstwa robotników wykwalifikowanych, żyjąca na mieszczańskim poziomie życia. Przemysł, zwłaszcza państwowy, zaczął się rozwijać a wraz z nim i warstwa techników i inżynierów. Rozbudowywano szkonictwo zawodowe. Wszystko to jednak nie zmieniało jeszcze faktu, że Polska była krajem, gdzie nie było normalnego krążenia społecznego między warstwami i nie było w pełni rozwiniętych warstw społecznych. Kapitał prywatny i dyspozycja ośrodków gospodarczych była w lwiej części niepolska.

Wojna zmiotła kapitał zagraniczny. Niemcy wybili Żydów. Do Polski przyłączono ziemie zachodnie z dużym przemysłem, urządzone i przystosowane do życia typu zachodnio-europejskiego. Życie urzędnika w obecnej Polsce nie jest godne pozazdroszczenia. Młode pokolenie zasmakowało w handlu. Po latach niepewności i przeganiania z miejsca na miejsce każdy tęskni do osiadłości i niezależności. Wielki zapas gruntów na ziemiach przyłączonych na zachodzie pozwala na powiększenie przeciętnej wielkości gospodarstwa chłopskiego, a brak robotników w nowych przemysłach zachęca do opuszczenia wsi. Porzucenie rodzinnej okolicy nie stanowi wielkiego wyczynu jak niegdyś. Hamulce, które powstrzymywały przenoszenie się ludzi z przeludnionej wsi do miast, przestały działać. Odpadło wiele przegród wewnątrz ludności miejskiej. Natomiast tłumione przez pokolenia dążenie nie osłabło. Czyż można się dziwić, że pęd do tworzenia polskiego (*o horribile dictu*!) stanu średniego jest tak przemożny ?

Tym bardziej, że kilka milionów ludzi zostało przerzuconych na nowe terytoria zachodnie, gdzie wszystko, od gęstej sieci komunikacyjnej łączącej wieś, miasto i miasteczko aż po jednakowe urządzenie wnętrz na wsi i w mieście, wnętrz mieszczańskich, taką ewolucję ułatwia i do niej zachęca. Życie samo prze do tego, by mniej intelektualistyczny syn prof. Chałasińskiego (jeśli takiego ma) i syn jego chłopskiego kuzyna spotkali się na zebraniu izby przemysłowo-handlowej któregoś z miast. Przeciw temu i przeciw życiu staje doktrynerska, wsteczna, reakcyjna akcja komunistów i niektórych otumanionych przez nich inteligentów.

Walka, jaka się obecnie w Polsce toczy na polu społecznym, jest walką z powstawaniem stanu średniego, z zamożnym chłopem, z kupcem, z drobnym przemysłowcem. Komuniści chcą utrzymać czy nawet przywrócić Polskę do stanu społecznego, w jakim była przed pokoleniem, a w jakim do dziś jest Rosja. Stan ten polega na tym, że istnieje masa ludowa a ponad nią nowa szlachta w postaci warstwy urzędniczej, choćby z tej samej masy się rekrutującej ale jej przeciwstawnej, chronionej przywilejami. Władza arbitralna takiej warstwy rozciąga się tam wszędzie, gdzie nie ma warstw pośrednich, gdzie nie ma ludzi niezależnych a są tylko biedacy i urzędnicy, masa i "aktyw". I aż zabawne jest obserwować, jak sobie poczynają "aktywiści" w kraju z wszystkimi fumami i nałogami dawnej szlachty w stosunku do biernej masy "chamów". Tylko, na ich nieszczęście, ta masa nie jest bierna i toczy z nimi podstępną a czasami i otwartą walkę o swoje prawo do awansu społecznego, do zarabiania, do ideału życia mieszczańskiego.

Ale to już jest inne zagadnienie.

(*Ciąg dalszy "Polskiego problemu społecznego" : Zagadnienie klasowe, Oblicze społeczne ruchu narodowego — w następnym numerze*).

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

WSCHODNIA GRANICA POLSKI

GRANICE państwa nie są rzeczą przypadku, są rzeczą instynktu. Nie było przypadkiem dążenie Polski do oparcia się o morze, tak, jak nie była przypadkiem tendencja Rosji do wyjścia na morze. Wschodnia granica Polski powstała z podobnych przyczyn, siłą woli narodowego instynktu. Była rezultatem geografii politycznej, która zmusiła książąt i królów polskich do przedsiębiorczej polityki wschodniej, będącej zresztą tylko współczynnikiem ich polityki zachodniej. Polska nie byłaby zachowała na południowym wschodzie warunków współpracy z Węgrami lub z poszczególnymi księstwami ruskimi. Nie byłaby też odniosła zwycięstwa nad Krzyżakami, bez unii z Litwą. Dla celów tych niezbędna była granica, umożliwiająca te cenne kontakty — potrzebna była wschodnia "ekspansja."

Ziemie Wschodnie nie powstały zatym z żądzy polskiej szlachty posiadania rozległych folwarków, a polskich magnatów — "latyfundiów." Były one przedmiotem wytrwałej polityki polskiej od Chrobrego — i przez cały ciąg naszej historii nie przestawały być wśród naczelnych zadań każdego polskiego męża stanu, każdego polityka, z nielicznymi tylko wyjątkami, do których w ostatnich czasach zaliczał się p. Mikołajczyk.

Granica wschodnia Polski tym bowiem różni się w swojej funkcji od zachodniej, że jest poniekąd wyrazem roli Polski w Europie. Granica zachodnia oddziela Polskę od Niemiec — i od jej przebiegu niewątpliwie zależy pozycja państwa polskiego wobec potężnego sąsiada zachodniego. Granica wschodnia posiada znaczenie niemniej ważne, stanowiąc o sąsiedztwie Polski z Rosją, dawniej z Rusią. Jest ona jednak o tyle bardziej funkcjonalna od zachodniej, że jednocześnie decyduje o stosunkach Polski z całą grupą narodów europejskich na północy i na południu, jeżeli zaś traktować Rosję w sensie etnograficznym — i na wschodzie. Stąd, podczas gdy zachodnia granica Polski ze swoim brzegiem morskim jest jakgdyby sprawą egzystencji państwa polskiego granica wschodnia jest kluczem do jego potęgi i do jego roli międzynarodowej.

Aby określić przykładowo rolę obu granic, zachodniej i wschodniej, wystarczy porównać Polskę Krzywoustego i Kazimierza Wielkiego. Krzywousty zdobył dla Polski granicę na zachodzie, która pokrywa się dokładnie z obecną granicą Polski, wytyczoną w Poczdamie. Ale zaniedbał przytym polityki wschodniej i przez to tak dalece osłabił pozycję międzynarodową państwa, że ostatecznie zmuszony był uznać zwierzchnictwo cesarza i nawet oprzeć się o Niemcy. Natomiast Kazimierz Wielki, chociaż nie odzyskał na zachodzie Śląska i Pomorza, przez swoje nabytki na wschodzie i przez swoje wschodnie sojusze, uczynił Polskę samodzielnym czynnikiem politycznym w Europie oraz stworzył podstawy dla przyszłej potęgi Polski jagiellońskiej.

Oczywiście nie znaczy to, aby granica zachodnia była mniej ważna od wschodniej. Tylko że ta ostatnia jest bardziej złożona pod względem swojej roli.

Sprawa granicy wschodniej w naszych czasach łączy się dla Polski ze sprawą jej stosunku do zagadnienia środkowej Europy. Granica traktatu ryskiego czyniła Polskę podstawą całego systemu niepodległych państw w środkowo-wschodniej Europie. Bez tej granicy narody bałtyckie nie mogłyby utrzymać swojej państwowości. Bez niej urywa się związek pomiędzy Polską i Bałkanami, a bez tego związku staje się problematyczna niepodległość Rumunii, Węgier, Bułgarii, Jugosławii i Czechosłowacji. Jeżeli zaś utrata przez Polskę granicy ryskiej rzuca cień na samą niepodległość państw t.zw. "strefy środkowej," to o ile bardziej jeszcze oddala je ona od możliwości ściślejszego zespolenia, w myśl planów sformułowanych w czasie ostatniej wojny.

Granica ryska miała zresztą swój aspekt ogólno-europejski. Z jej zniknięciem sąsiadami Rosji poczuły się Francja, Austria i Włochy.

Ta fundamentalna rola wschodniej granicy Polski nie była naogół doceniana w świecie. Pochodziło to przeważnie stąd, że konserwatywna w swoich koncepcjach myśl polityczna na zachodzie nie dostrzegała zmian, jakie zaszły w Europie od r. 1914, i ponieważ nadzieje swoje na "równowagę" budowała wyłącznie w antagonizmie niemiecko-rosyjskim. Politykom zachodnio-europejskim wydawało się, że zbyt szeroka przegroda pomiędzy Niemcami a Rosją nie sprzyja pogłębianiu się tego antagonizmu. W pewnym sensie rozumowanie to było uzasadnione, gdyż pokojowa wobec obu sąsiadów polityka Polski, w sposób naturalny oddalała od nich konflikt. Gdyby Polska była słabym satelitą, bądź Niemiec, bądź Rosji, stałaby się niechybne beczką prochu w rozgrywce pomiędzy tymi mocarstwami.

Fakt, że ziemie wschodnie posiadały większość ludności niepolskiej etnicznie, był tylko pretekstem dla niektórych kół politycznych zagranicą do kwestionowania do nich praw Polski. Granice etniczne nie muszą się idealnie pokrywać z granicami politycznymi. Nikt nie interesował się nigdy sprawą Ukraińców na Bukowinie, ani nie kwestionował posiadania przez Rosję licznych terytoriów zamieszkałych przez ludność nierosyjską. Kogóż wreszcie obchodziła statystyka narodowościowa na niemieckim Śląsku lub na Mazurach? Ale jeżeli komuś pewna granica nie dogadza, zawsze znajdzie przeciwko niej argumenty, które nie zawsze są jednakiego rodzaju. Przecież granica Polski na Pomorzu była kwestionowana względami "nonsensu geograficznego", a granica na Śląsku względami "gospodarczymi".

Zatym nie może osłabiać praw Polski do Ziem Wschodnich wzgląd na ich statystykę narodowościową. Ukraińcy, którzy roszczą sobie pretensje do Lwowa, dlatego, że na zachód od tego miasta znajduje się jeszcze parę powiatów z większością ukraińską, sami zaliczają do "ukraińskiego obszaru narodowego" Bessarabię, Krym i znaczną część Kaukazu, nie troszcząc się o stosunki etniczne tych obszarów, w swej większości nie-ukraińskich. Roszczenia swoje do nich opierają na przesłankach geograficznych. Ale prawa Polski do Ziem Wschodnich opierają się nietylko na przesłankach geograficznych: na historycznych, politycznych, godpodarczych i kulturalnych. Jeżeli zaś kulturalnych, to i etnicznych, gdyż grupa polska na ziemiach wschodnich nietylko przodowała całej ludności, ale ją też reprezentowała od wieków, w znacznej części reprezentując ją i pod względem rasowym. Tak, jak starsi bracia reprezentują młodszych.

ZBIGNIEW ABDANK

NASZE MIEJSCE

UWAŻAJĄC* państwo polskie, tak jak określiły je traktaty Wersalski i Ryski, za rzeczywistość międzynarodową i budując Polskę między Kowlem a Zbąszyniem i między Gdynią a Zaleszczykami, sądziliśmy, że odbudowujemy "sklepienie narodów". Utwierdziły nas w tym przekonaniu przyjaźnie, jakie pozyskaliśmy wśród mniejszych sąsiadów i sojusze, jakie zaofiarowała nam Francja, a w końcu W. Brytania. Jeśli wypadki późniejsze pozwoliły nam zapomnieć o konferencji w Spa w r. 1920, to decyzje Jałty z r. 1945 nakazują nam — od lat już na Zachodzie żyjącym — zastanowić się gruntownie nad przyczynami i skutkami nieufności Europy do roli i znaczenia Polski.

Mówią nam, że poza krótkim okresem XVI wieku Europa mało miała do czynienia z historycznym faktem istnienia Rzeczypospolitej. Nie odgrywaliśmy istotnej roli w historii jej wielkich narodów. Historia ta toczyła się daleko na Zachód od nas i dopiero w XVIII wieku objęła Prusy, które weszły w skład politycznej Europy właśnie naskutek rozbiorów Polski.

Dzięki rozwojowi przemysłu i komunikacji zmodernizowana i wszystkim dostępna Europa powstała i utrwaliła się w wieku XIX. Wtedy zaś nie istnieliśmy na jej mapie i kilka pokoleń wychowało się i wykształciło nie słysząc nic o istnieniu i potrzebach naszych.

W ciągu XIX wieku byliśmy kilka razy sensacją poszukiwaną przez dzienniki, ale nie przez opinię, która przyjmowała bez zainteresowania ponure wieści z dalekiego kraju nad Wisłą. W tych czasach też powstało i wryło się w serca i umysły Zachodu powiedzenie o *la malheureuse Pologne.*

Nie wielki był to więc nasz kapitał zakładowy.

Pamiętamy też z jak powszechnym sceptycyzmem spotkało się odrodzenie państwa polskiego w r. 1918. Francuzi pogodzili się najprędzej z istnieniem nowego sąsiada Niemiec na Wschodzie, ale Jacques Bainville (którego stanowisko wobec Niemiec nic nie straciło wśród Francuzów na aktualności) ostrzegał opinię francuską przed kłopotami, jakie spowoduje jego rodakom sojusz z Polską, w której rozwój nie wierzył. Rosja pochłonięta rewolucją daleka była od określenia swego stosunku do jednego z tak wielu nowych sąsiadów zachodnich.

Tym niemniej praca i osiągnięcia dwudziestolecia niepodległości były bardzo poważne. Wpłynęły też istotnie na zmianę klimatu politycznego, w którym żyła i rozwijała się Polska. Gdybyśmy mieli możność dłuższej rozbudowy państwa, zrozumienie jego zadań i jego konieczności stałoby się powszechną własnością europejską.

W świadomości narodów młodych, które po Pierwszej Wojnie Światowej zdobyły lub ugruntowały swą niepodległość, istnienie Polski zjednało sobie szybko należne miejsce. Zjawisko to jednak ograniczone było przestrzennie i jakościowo. Przestrzennie do obszaru środkowo-europejskiego, położonego między Niemcami a Rosją. Dotyczyło więc rejonu nieznanego w historii politycznej Europy XIX wieku,— rejonu, który dopiero dowieść miał możliwości i użyteczności swego istnienia.

Jakościowo Europa Środkowa, w przeciwieństwie do Europy Zachodniej składała się z mozaiki mniejszych i całkiem małych państw, na które wielkie lub znane, a najczęściej i wielkie i znane, twory polityczne Zachodu patrzyły sceptycznie, jako na próbę rozsadzenia międzymorza bałtycko-czarnomorsko-adriatyckiego na dziesięć państw.

Sceptycyzm ten powodował bardzo ujemne zjawiska. Kompleks niższości wobec Niemców charakteryzował nie tylko Czechów, szukających ponad głową Polski oparcia w Sowietach. Ulegała mu też stale polityka francuska. Kompleks niższości wobec Rosji charakteryzował nie tylko państwa bałtyckie szukające poza nami oparcia jeszcze w Niemczech. Dotyczył on też Rumunii. To też nasz sojusznik francuski patrzał poprzez Warszawę na Moskwę, a nasz sojusznik rumuński poprzez Warszawę na Berlin. To zaś byli jedyni nasi sojusznicy.

Sojusz angielski, jedna z wielu "gwarancji", które Wielka Brytania w przede dniu wojny hojnie wystawiła, nie wniósł niczego nowego, ani do zagadnienia bezpieczeństwa, którego nie stworzył, ani do stabilizacji rejonu, czy samej Polski, która mimo niego uległa całkowitemu zniekształceniu.

O niebywałej płynności Polski, jako pojęcia politycznego wśród mocarstw, przekonały nas umowy jałtańskie i poczdamskie, w wyniku których ostał się jedynie kawałek granicy karpackiej, między źródłami Wisły i Sanu, jako jedyny trwały ślad dorobku historycznego i terytorialnego Polski. Z siedmiu sąsiadów, trzech tylko zdołało się utrzymać na naszych granicach choć przecie trwałe sąsiedztwa odgrywają zasadniczą rolę w życiu każdego narodu. Historia nowoczesna nie zna podobnego wypadku ! Nawet Kongres Berliński w 1878 roku nie pozwolił sobie na takie kreślenie ołówkiem po półdzikich wtedy Bałkanach, na jakie zdobyła się obecnie "wielka trójka" w stosunku do historycznego i licznego narodu polskiego.

Zbyt silnie jest rozwinięte poczucie własności u Anglosasów, by uważając terytorium Polski z 1939 r. za naszą własność, pozwolili sobie na takie jej lekceważenie. Zobowiązując się, z własnej inicjatywy, do obrony integralności ówczesnych granic, Anglicy nie przewidywali jeszcze paktu niemiecko-sowieckiego. Łatwo też pogodzili się z tym, że "sumienie narodów" (jak inny Anglosas Polskę określił) posłużyło bezpieczeństwu świata zachodniego stając się polem walki Niemiec i Rosji. To niehonorowane słowo przyczyniło się jednak do tego, że Polska utraciła kontury, które z takim trudem udało się jej zarysować między dwiema wojnami. Polegały one na włączeniu w europejską grę sił nowego obszaru na Wschodzie, uzyskanego wskutek klęski Niemiec i Rosji w roku 1918. Siły te garnęły się do Europy i obowiązkiem jej polityków, opartych o traktaty Wersalski i Ryski, było właśnie zwaloryzować je i użyć dla stworzenia trwałej równowagi europejskiej.

Powiedzmy odrazu, że nic podobnego nie miało miejsca.

Dynamizm niemiecki, którego koszta płaciła Europa od początku XI wieku nie był i nie jest katastrofą żywiołową, nie dającą się uniknąć. To, że manifestował się znowu w zaraniu klęski 1918 roku, powinno było stać się przestrogą i wywołać reakcję. Zamiast jednak ostrzeżenia rewizjonizmu niemieckiego przed każdą próbą sił byliśmy świadkami zachęty udzielonej mu przez Zachód w Locarno. Jak dziwić się Niemcom Hitlera, że rozpoczęły wojnę o Gdańsk, skoro kilkanaście lat przedtem powiedziano Niemcom Stressemana, że Wisła to zupełnie inna sprawa niż Ren ? Jak potępić układ monachijski, który był przecie jedynie ratyfikacją umów lokarneńskich ?

Podstawowe zagadnienia bezpieczeństwa narodów europejskich, zagadnienie niemieckie, wymaga tylko — ale wymaga stanowczo — solidarności sąsiadów. Jej kamieniem węgielnym miał być sojusz polsko-francuski, sojusz największych sąsiadów Niemiec na Zachodzie i Wschodzie. Jego rozbudowa powinna była logicznie objąć wszystkich sąsiadów Niemiec,

*)Drugą część art. "Nasze miejsce" zamieścimy w nast. numerze "Myśli Polskiej", Red.

Pewne koła polskie chronicznie chorują na chorobę, którą możnaby nazwać chorobą na opinię międzynarodową. M. i. wydaje się im, że przez samo-biczowanie dotychczasowej polityki mniejszościowej i przez niewyraźne obietnice jej rewizji — a nawet rewizji granic państwa, umocnią politykę polską w argumenty moralne. Jest to rozumowanie całkowicie błędne. Ci, którzy pragną zachowania "linii Curzona", nie myślą o prawach Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. Oni terytoria te oddają Rosji. Gdyby stosunki Polski z mniejszościami kresowymi były najbardziej sielankowe, lub gdyby statystyka narodowościowa na całym obszarze wschodnich województw odpowiadała statystyce Lwowa i Wilna — i tak czyniliby z nich prezent Rosji. A to dlatego, ponieważ chcą mieć Rosję jak najbliżej Niemiec, a nie jak najdalej. Dlatego mało ich zawsze obchodziła niepodległość Litwy, która jest etnograficznie niemniej litewska, niż Francja francuska. Jedyną zatym obroną naszych praw do wschodniej granicy, jest jej legalizm. Uparta obrona prawomocności traktatów i zobowiązań międzynarodowych, chociaż chwilowo nieskuteczna, posiada jednak większą wymowę i większe znaczenie na przyszłość, niż wszelkie deklaracje o przyszłych porozumieniach "demokratycznych" i "wolnych z wolnymi". Ale ta bezmyślna deklamacja dostarcza argumentów propagandzie rosyjskiej, jako dowód, że Polacy sami kwestionują swoje prawa.

Trzeba bowiem, aby każdy Polak uświadomił sobie dokładnie, że jedynymi, prawdziwymi partnerami naszej wschodniej granicy są tylko Polska i Rosja. Ukraińcy, Litwini i Białorusini to są czynniki, które problem ten mogą komplikować, ale które nie mają dla niego decydującego znaczenia. Wschodnia granica Polski jest granicą polsko-rosyjską — znaczenie dla niej posiada tylko wzajemny układ sił, względnie układ stosunków międzynarodowych. I układ sił i układ stosunków międzynarodowych, grają dzisiaj na korzyść Rosji. Pod pierwszym względem trudno oczekiwać istotnych zmian w bliskiej przyszłości. Inaczej ma się jednak rzecz, o ile chodzi o drugą sprawę. Mogą zajść bowiem tak poważne zmiany pod tym względem, że przesunięcie granicy wschodniej na wschód, do linii traktatu ryskiego stać się może naraz jednomyślnym postulatem wszystkich mocarstw, zapewne z wyjątkiem Rosji.

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

J. RADZYMIŃSKA

PAMIĘCI MIASTA

Na stopach moich pełno kraju,
bo tego kurzu nic nie zetrze —
on jest mym smutkiem i poznaniem,
które surowe jest i pełne.

Widzę: krąg światła, jakby krople
słoneczne zamknął ktoś w owocach —
i trawy promień drży. Jest smukły.
To jest ojczyzna w moich oczach.

A potem kołysanie wierzb
i suchy dym szkieletów ludzkich
i pamięć miasta, które jest
zwęglonym sercem w Bożych płucach

(Poznanie wojny gorzkie jest,
przeto na oczach dłonie połóż
i z kolącego ciernia weź
cierpienie przypisane Bogu).

Teraz zobaczę w kręgu światła
cierpienie Boże, równe smutkom,
człowieka wojny, który miasto
umarłe w żywych nosi płucach.

To na mych stopach miasta kurz
poznaniem kraju jest surowym.
A takie drobne liście wierzb,
jak cierń nękają moje czoło.

J. RADZYMIŃSKA

---

a mianowicie: Belgię, Holandię, Danię, Czechosłowację i Austrię.

Niezdecydowany, a w konsekwencji nieszczery i nieufny stosunek słabszego sąsiada Niemiec — Austrii — spowodował, po kilku nieśmiałych próbach francuskich, pozostawienie troski o nią wyłącznie Włochom, które przecie nie miały nigdy warunków stania się ośrodkiem koalicji antyniemieckiej.

Położenie geograficzne Czechosłowacji, jej struktura narodowościowa przy nasyceniu w dodatku Niemcami obszarów granicznych, powodowały, iż przymierza, jakie temu państwu udało się uzyskać były warunkowe. Dobitnym tego przykładem stały się rokowania dyplomatyczne w przede dniu Monachium, kiedy Rosja oświadczyła że stanie czynnie w obronie Czechosłowacji, jeśli zrobi to uprzednio Francja, ta zaś uwarunkowała swą pomoc od stanowiska Polski. Dodać trzeba, że zarówno Rosja, jak i Francja wiedziały, że właśnie ewentualność wkroczenia wojsk sowieckich na terytorium polskie uniemożliwi taką decyzję. Cokolwiek wtedy o pomocy sowieckiej myślano i pisano na Zachodzie nie mogło to obalić faktu, że p. Bierut gotów był tak samo w roku 1939 jak p.Marchlewski w roku 1920 do objęcia władzy i że jedynie opór Polski uniemożliwił mu to w 1939 r., a bynajmniej nie przeszkadza mu w roku 1947 opinia Prezydenta Trumana o tej sowieckiej pomocy.

Co tu mówić o polityce zagranicznej Danii, skoro jej kierownicy publicznie mówili, że polega ona na tym, że jej wcale nie ma. Za najlepszą gwarancję duńskiej niepodległości uważano tam brak armii i fortyfikacji.

Holendrzy znów uważali, że skoro oni do nikogo nie mają pretensji, to nikt też do nich żadnych mieć nie może. Ponadto liczyli na to, że strony wojujące zawsze potrzebować będą, neutralnych portów i kontaktów holenderskich.

Pozostawała Belgia, której też ostatnio marzyło się o neutralności.

Jakież stanowisko zajęły W. Brytania i Francja?

Anglia, która zaofiarowała Polsce pisany sojusz wiosną 1939 roku, podpisała sojusz z Francją dopiero wiosną 1947 roku. Zestawienie tych dwóch dat, na tle przepaści która je dzieli, mówi samo za siebie. O ile podpis w 1939 r. był czekiem na okaziciela bez pokrycia, o tyle sojusz z Francją jest wekslem solidnie żyrowanym przez Stany Zjednoczone.

Trzeba było dyzlokacji Imperium, by Anglia zrozumiała, że znajduje się w Europie. Jest to fakt olbrzymiego znaczenia, wprowadza on bowiem do zagadnienia równowagi kontynentu ten wielki potencjał przemysłowy, ludnościowy i organizacyjny, w braku którego wysiłki narodów europejskich zapewnienia sobie bezpieczeństwa w ramach własnych skazane są na niepowodzenia.

Sojusz polsko-angielski, podobnie jak sojusz francusko-czechosłowacki, był zamierzeniem, ale nie był osiągnięciem. Francja w roku 1924 zobowiązując się bronić Czechosłowacji nie była w stanie tego uczynić. Obiecała użyć do tego celu siły, a użyła pióra, przykładając podpis pod rozbiorem Czechosłowacji w Monachium, gdyż niepewna ani istoty ani rozmiarów poparcia angielskiego w r. 1924 nie zdolna była stać się kośćcem zapory przeciwniemieckiej.

Anglia w roku 1939, zobowiązując się bronić Polski, nie była również w stanie tego dokonać. Nie tylko nie obroniła niepodległości naszej, ale sankcjonowała nasz rozbiór w Jałcie; nie pewna ani istoty ani rozmiarów pomocy amerykańskiej w r. 1939 nie zdolna była podjąć ofenzywy przeciw napastliwości Niemiec.

Gdyby Francja dysponowała sojuszem angielskim z 4 marca 1947 lat temu dwadzieścia pięć, gdyby W. Brytania posiadała w owym czasie, jak dzisiaj, współpracę wojskową Stanów Zjednoczonych, — system sojuszów obronnych w Europie byłby rozbudowany tak, że Hitler nie odważyłby się nie tylko na wojnę, ale nawet na wprowadzenie powszechnej służby wojskowej.

Dzisiaj w stosunku do rozbitych materialnie i moralnie Niemiec zawiera się na Wschodzie i Zachodzie przymierza, przewidujące interwencję prewencyjną. W roku 1939, kiedy zwracaliśmy uwagę na tężniejące z dniem każdym niebezpieczeństwo napaści niemieckiej i gotowi byliśmy ponieść część kosztów jego unicestwienia, powiedziano nam na Zachodzie, że ogłoszenie w tym celu choćby mobilizacji, wywołałoby u nich rewolucję, bo narody zachodnie zdolne są tylko do wojny obronnej i potępiają wszelką myśl wojny prewencyjnej.

Europa kończyła się wtedy na granicach Rosji i można było zlikwidować źródła agresji niemieckiej bez uciekania się do jej pomocy. Rosja żyła, jak w ciągu wieków, swym własnym życiem i wiedziała, że oddzielona jest od Europy i jej dramatów murem dobrej woli zachodnich sąsiadów z Polską na czele.

Ale Zachód europejski zainaugurował już wtedy politykę "sfer wpływów". Systematycznie dokarmiał rewizjonizm niemiecki i chowając się za linię Maginota dyskutował sprawy granic i mniejszości wschodnich sąsiadów Rzeszy. Była to tak zwana "polityka kierowania ekspansji niemieckiej". Biadając nad kłopotami Austrii, Czech i Polski, a nie wspominając o Antwerpii i Strasburgu naiwni ci politycy sądzili, że to oni kierują polityką niemiecką na Wschód.

Trudno posądzać ich inspiratorów, a było ich wielu, po prostu o chęć powiększenia Niemiec na Wschodzie. Przypuszczać raczej należy, że dążyli oni do przywrócenia wspólnej granicy niemiecko-rosyjskiej w przekonaniu że ona jedynie sparaliżuje dynamizm niemiecki. Zapomnieli, że granica taka nie przeszkodziła Bismarckowi zmiażdżyć Francji (i Danii) i nie pomogła Zachodowi w wojnie 1914-1918 więcej, niż Polska w roku 1939. Nie wierząc w możliwość równowagi europejskiej, nie wierząc we własne siły, pragnęli ci pomniejszyciele Europy rozszerzyć ją, wciągając do niej państwo eurazjatyckie.

Tej to właśnie polityce zawdzięczamy katastrofę Drugiej Wojny Światowej i jej obecne — jeszcze większą katastrofą nasiąkłe — skutki.

Była ona oparta na całkowicie fałszywych założeniach. Stan rzeczy w Europie, tak jak się zarysowywał po podpisaniu Traktatu Wersalskiego był — z ogólnego punktu widzenia — zadowalający. Jedynym, ale istotnym błędem było wytyczenie granicy Niemiec na Wschodzie, krzywdzące nie tylko Polskę, ale i Europę przez pozostawienie Prus Wschodnich i Śląska przy Niemczech. Tym niemniej sześćdziesiąt kilka milionów Niemców otoczone było ośmdziesięciu kilku milionami sąsiadów, zainteresowanych w niedopuszczeniu do ponowienia agresji niemieckiej. Istotne strategiczne obszary Niemiec na Zachodzie były zdemilitaryzowane, a armia niemiecka sprowadzona do 1/10 sił jej sąsiadów.

Najsilniejszy wśród nich, Francja, dysponowała systemem sojuszów, obejmującym Belgię, Polskę i Czechosłowację. Te ostatnie kraje, po przezwyciężeniu olbrzymich trudności jakie powoduje konieczność improwizacji państwa nowoczesnego z jego niekończącym się bezmiarem zadań i obowiązków, ustabilizowały się politycznie i gospodarczo.

Z drugiej strony stosunki w Niemczech nawet w przede dniu dojścia do władzy hitleryzmu, mimo poważnego bezrobocia, dalekie były od załamania strukturalnego. Trudności były ściśle koniunkturalne i podobne w tym do stanów kryzysowych wszystkich wielkich państw przemysłowych. Niemcy, choć twierdziły, że niezdolne są do życia bez "śpichrza poznańsko-pomorskiego", żyły w dobrobycie. Zawsze importowały artykuły żywnościowe i zawsze czynić to będą. Nawet dziś, po utracie Zaodrza, importować będą w tej dziedzinie stosunkowo mniej niż np. W. Brytania.

Jednym słowem siły zainteresowane w wykonaniu Traktatu Wersalskiego przewyższały siły Niemiec prące do jego rewizji. Chodziło jednak o to wykonanie. Nikt dziś, po ogłoszeniu dokumentów hitlerowskich nie wątpi, że samo zarządzenie mobilizacji we Francji wobec wkroczenia Niemców do Nadrenii wystarczyło by do zmuszenia ich do odwrotu. Nikt nie zaprzeczy, że zagrożenie wkroczeniem wojsk francusko-polskich do Niemiec wstrzymało by Hitlera od wprowadzenia powszechnej służby wojskowej.

Wtedy bowiem, w roku 1936 decydowała się wojna roku 1939-45. Wtedy Niemcy ją zdecydowały i wtedy Europa dopuściła do zwichnięcia równowagi sił, które do niej doprowadzić musiało. Państwa europejskie miały w rękach środki unicestwienia agresywności niemieckiej, ale nie umiały z nich skorzystać.

Równowaga sił europejskich bez Rosji istniała i Niemcy były skrępowane. Elementem jednak istotnym tej równowagi było istnienie, była niepodległość państw środkowo-europejskich i ich udział w europejskiej polityce i grze sił.

Zachód europejski nie docenił, bo nie zrozumiał przeobrażenia, jakie nastąpiło na Wschodzie i po staremu widział te rzeczy, których już nie było, a nie widział rzeczy, które powstały.

Nie było tam już Rosji, której przedstawiciele brali udział w Kongresie Wiedeńskim i Berlińskim w XIX wieku, ale nie byli przecie obecni ani przedtem przy podpisywaniu traktatów Westfalskich ani potem Wersalskiego.

Nie było Rosji w Europie w okresie Francji Ludwika XIV, ale była ona w okresie Niemiec Bismarcka. Nie działał sojusz francusko-rosyjski, gdy Foch dyktował Niemcom warunki zawieszenia broni w Compiègne w roku 1918, ale istniała współpraca niemiecko-rosyjska w chwili, gdy Hitler dyktował Petainowi warunki kapitulacji w Compiègne w roku 1940.

Nie przyjaźń Rosji wzmacniała pozycję Francji wobec Niemiec i nie Rosja ratowała Zachód przed agresją niemiecką. Od momentu zjednoczenia Niemiec, który pokrywa się z wszczęciem przez nie agresynej polityki, rolę obrońcy Renu przyjęła W. Brytania, a za nią Stany Zjednoczone.

Obecność Rosji na granicy niemieckiej — Rosji z nad nie-europejskich mórz i lądów — Rosji nieeuropejskich ras i religji — wprowadzała stale chaos w życie polityczne naszego kontynentu, utrudniając wykrystalizowanie się równowagi sił. Przyczyną tego było raz niedocenianie, raz znów przecenianie jej sił, wynikające ze stosowania europejskich kryteriów do poza europejskich stosunków. Pamiętać przy tym należy, że w XIX wieku i w początkach XX Rosja znajdowała się między Uralem a Wisłą i Dniestrem, gdyż jej azjatyckie obszary spełniały jedynie bierną rolę — to też Petersburg był w praktyce stolicą europejskiego państwa. Stosunek taki do niej istniał jednak jedynie w tym okresie historycznym, który nazywamy absolutystycznym. Monokracja rosyjska wchodziła w skład koncertu europejskiego i spełniała w nim pozytywną rolę właśnie i tylko w okresie meternichowskim. "Święte przymierze" absolutyzmu europejskiego znajdowało cenne oparcie w "samodzierżawiu" rosyjskim. Tej współpracy i temu "koncertowi" położył kres rok 1848. Europa "wiosny ludów" — Europa skierowana na tory demokracji, odwróciła się od Rosji, zajętej nadal i ciągle wybijaniem okien na świat dla swego stepu (wojny krymskie i tureckie).

Pierwsze osiągnięcia na drodze waloryzacji obszarów azjatyckich doprowadziły do konfliktu na Dalekim Wschodzie w początkach XX wieku. Od tej chwili — od wojny rosyjsko-japońskiej w 1905 roku — Rosja przestała być wyłącznie państwem europejskim, posiadającym kolonie na kontynencie azjatyckim, a stała się państwem eurazjatyckim. Brała ona udział w wojnach 1914-18 i 1941-45 roku, ale tylko na terenie Europy i — jeżeli abstrahować od zagadkowej kampanii fińskiej 1940 roku — zawsze jako członek potężnej koalicji.

W tym charakterze wykazała podobną słabość i nieodporność dwadzieścia pięć lat temu, co siłę i wytrwałość ostatnio. I w jednym i w drugim wypadku sprawiła swym sojusznikom niespodziankę, co nie należy do elementów szczególnie cenionych i pożytecznych w dziele tworzenia i obrony równowagi politycznej.

Wciągając Rosję w politykę europejską mocarstwa zachodnie nie tylko zapomniały o ewolucji, która uczyniła z niej państwo eurazjatyckie, ale przeszły do porządku nad istnieniem i rolą ponad stu milionów ludzi, żyjących w państwach, oddzielających Rosję od Niemiec.

Obszar ten zdobył niepodległość rzeczywistą dopiero w rezultacie podwójnej klęski Niemiec i Rosji w roku 1918. Istniejące przed Pierwszą Wojną Światową państwa bałkańskie (Rumunia, Bułgaria i Serbia) wciśnięte między Rosję i Austro-Węgry, były za słabe by sobie pozwolić na coś więcej, jak wegetację w cieniu rywalizacji Wiednia i Petersburga. Dopiero likwidacja Austro-Węgier i powstanie Polski stworzyło nową geopolityczną sytuację Europy Środkowej.

Bariera niemiecka, panująca nad Bałtykiem i Adriatykiem (niemiecki Królewiec, Gdańsk i Szczecin, oraz austriacki Triest, Pola i Dalmacja) została zdruzgotana i granice polityczne Niemiec cofnięte zostały z nad Niemna, Dniestru i Sawy o kilkaset kilometrów na Zachód. Niemcy przestały panować nad międzymorzem — nad przesmykiem Królewiec-Odessa, stanowiącym najkorzystniejszą bazę wypadową do Rosji europejskiej. Na tych obszarach zaś powstał szereg państw niepodległych które ani osobno ani połączone nie mogą i nie chcą angażować się w bezkresie rosyjskiej przestrzeni.

Rosja zaś straciła równocześnie "przyczółek mostowy" w Europie wysunięty aż do Zagłębia Śląskiego u "granicy trzech cesarzy". Granica Traktatu Ryskiego rugując Rosję o kilkaset kilometrów na Wschód i osadzając ją poza przesmykiem Królewiec-Odessa, stwarzała między Rosją i Niemcami pas bezpieczeństwa, izolując te państwa od siebie obszarem, którego posiadanie przez jedną czy drugą stronę dawało jej nie tylko przewagę strategiczną, ale też stwarzało podstawę istotną do ubiegania się o hegemonię w całej Europie.

Taka była sytuacja Niemiec w roku 1941, kiedy pokusiły się one o panowanie nad kontynentem eurazjatyckim i taka jest sytuacja Rosji dziś, gdy poprzez Łabę sięga do Zachodniej Europy. Tych doświadczeń trzeba było politykom europejskim połowy XX wieku, mimo, iż Napoleon z początkiem XIX, a Bismarck siedemdziesiąt lat temu, zdawali sobie doskonale sprawę z geopolitycznej wagi niezależności Polski przede wszystkim, a obszaru między Niemcami a Rosją w ogóle.

Niewątpliwie stan rzeczy w tym obszarze, a w szczególności stosunki między jego elementami pozostawiały dużo do życzenia. Należy przyjąć iż gdyby państwa środkowo-europejskie zorganizowały się odrazu w zespół o charakterze podmiotu międzynarodowego, reszta Europy zrozumiałaby lepiej i prędzej jego dla kontynentu znaczenie. Tak się jednak nie stało.

Nad stabilizacją polityczną obszaru zawisł bowiem od początku złowrogi cień pokonanych rywali. Narody sąsiadujące bezpośrednio z Niemcami, przed nimi przede wszystkim odczuwały lęk i przed nimi szukały obrony i opieki. To samo zjawisko obserwować można było od strony Rosji. Zagrożenie bezpośrednie, interes własny odgrywał tam rolę główną, czemu dziwić się trudno, biorąc pod uwagę, iż zwycięskie mocarstwa zachodnio-europejskie nie zdobyły się na nic więcej i podobnie szukały własnego bezpieczeństwa, ograniczając je celowo do własnego obszaru.

Z. ABDANK

JAN BIELATOWICZ

MONTE CASSINO

RZYM około roku 500 nie ułatwiał świętemu Benedyktowi komunii z Bogiem. Wielki Umbryjczyk wybrał się na poszukiwanie ołtarza ziemskiego, przy którym klęknąwszy można by najspokojniej z Bogiem rozmawiać. Subiaco wydawało mu się za blisko Rzymu, więc wymościł sobie grotę w pobliżu Willi Nerona opodal dzisiejszego Anzio, gdzie dzicy pasterze z Kampanii schodzili się słuchać słowa Bożego. Wokół powstawały klasztory, aż liczba ich wzrosła do dwunastu, z dwunastu mnichami w każdym — na pamiątkę liczby apostołów. Ale i tu rychło dosięgła świętego ludzka nienawiść.

Wziął więc kij i sakwę podróżną i powędrował przed siebie, może przez błota pontyńskie Drogą Appijską, a może, wróciwszy do Rzymu, starą, lecz niewygodną drogą wśród dzikich pustkowi, nazywaną różnie: Via Latina, Romana albo, jak i dziś, Casilina. Podanie głosi, że dwaj aniołowie poprzedzali świętego i wskazali mu wzgórze Cassinum, jako Bogu miłe.

Że Bóg często zatrzymywał swój wzrok na tych wzgórzach Apenin Abruzzyjskich, przerwanych rozległą doliną rzek Liri i Rapido, świadczy także Aquinum, z którego wyszedł największy na ziemi tłumacz Boga na rozum ludzki.

Pan Bóg widział Cassinum po swojemu, a ludzie po swojemu. Ludzie szeptali sobie od wieków, że kto jest panem wzgórza Cassinum, ten jest też panem Rzymu. Pamięć ludzka utraciła imię tych władców Cassinum i Rzymu, którzy budowali nad rzeką Rapido mury cyklopowe, trwalsze od pamięci historycznej ludzi. Rzymianie w roku 312 przed Chrystusem zmusili miasto-twierdzę Cassinum do uznania latyńskiej wspólnoty. Na dwadzieścia trzy stulecia śmiało więc liczyć można wiek Cassina. Hannibal, jak przekazuje Plutarch, szukał z Kapuy dróg do Cassinum, niespokojny by go Rzymianie nie ubiegli w zajęciu tej pozycji. Ale najeźdźcom nie służą nigdy długo najbardziej nawet kluczowe pozycje. Cassino zakwitło jako kwiat kultury łacińskiej. Amfiteatr rzymski i kolosseum pokazywano tu aż do ostatniej wojny jako największe osobliwości historyczne, doskonale zachowane. Kościół św. Krzyża (Chiesa del Crocifisso) był to stary grobowiec latyński.

Od chwili przybycia św. Benedykta do lasku, poświęconego Jowiszowi i Febusowi, na wzgórzu ponad miastem Cassinum, miejsce to stało się areną zmagania się Bożej i ludzkiej woli. Święty zrobił najpierw porządek z plugastwem pogańskim: powycinał święte drzewa. Potem, uprzątnąwszy stojącą tu od dawna i zapuszczoną wieżę, ochrzcił ją w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego imieniem św. Jana Chrzciciela. Wypatrzywszy sobie źródła wody i lichej strawy, zasiadł w owej wieży do pisania swej reguły, która stała się jednym z fundamentów chrześcijańskiego pojmowania życia. W tym czasie braciszkowie stawiali pierwsze mury słynnego później na cały świat opactwa.

Język polski chcąc określić trud ponad miarę nazywa go "benedyktyńskim". Począł się on w Polsce w wieku XI, kiedy bracia benedyktyni z Monte Cassino przybyli na Święty Krzyż i do Tyńca, by uczyć nowej na ówczas prawdy: "módl się i pracuj" Właśnie w r. 1947 mija 1400 lat od śmierci św. Benedykta. Opaci i biskupi w imieniu 120 opactw benedyktyńskich, rozsianych po całym świecie, wręczyli Ojcu świętemu petycję o ogłoszenie wielkiego patriarchy patronem Europy. "Nawet w dniu, kiedy armie sprzymierzone maszerować będą przez Rzym i Berlin, nie zobaczą niczego o większym znaczeniu w całej historii ludzkości, jak te ruiny na wzgórzach obok Szóstej Drogi" — pisał po wzięciu Cassina korespondent

brytyjski. Uważa się powszechnie Monte Cassino za kolebkę europejskiej cywilizacji i kultury. Kiedy w roku 1868 opactwu groziło zajęcie przez rząd piemoncki, premier rządu W. Brytanii, Gladstone, ostrzegł Włochów, że poczytane to będzie za potwarz dla całej Europy. Tak potężny był wpływ duchowości benedyktyńskiej na umysłowość europejską. Całe dziedzictwo kultury antycznej, rozwinięte potem w kulturę zachodnio-chrześcijańską, właśnie w opactwach benedyktyńskich zostało przechowane i uratowane od zagłady w burzliwym okresie wędrówek ludów aż do czasów średniowiecznych. Monte Cassino było arką przymierza pomiędzy zachodzącym Rzymem cezarów i wschodzącym imperium Kościoła. Tu oprawiono starożytne foliały w pergaminy, znaczone krzyżem świętym, i niejedną starą prawdę ciosano w nowe kształty. Św. Benedykt nie tylko dał ludziom pierwszą regułę zakonną i przekazał mądrość starożytnych, ale sformułował nowoczesne ideały cywilizowanego życia, zrozumiałe, dostępne wszystkim, łagodne, ludzkie. Boga apostołował miłością, a nie strachem, mroki rozświetlał nauką, pracę nobilitował jako przykazanie Boże, a prawo jako Bożą wolę. Półdzicy pasterze chwytali za lemiesze, a w niedziele padali na kolana w kościołach przed nowym, najlepszym ze wszystkich, Bogiem.

Opactwo nagromadziło w ciągu wieków cenne skarby. Legenda klasztorna głosiła z dumą, że wieża, w której św. Benedykt pisał swą regułę pochodzenia antycznego, zachowała się do ostatnich dni opactwa. Bez wątpienia zachowały się ślady pracy pierwszych braci z VI stulecia. Wspaniały jednakże klasztor, znany nowoczesnemu światu, był dziełem wieków XVI, XVII i XVIII, a nade wszystko Bramantego, twórcy dziedzińca, krużganków i większości pomników. Nieważne już dziś, jakie rzeźby mozaiki i freski zdobiły refektarze, kaplice, grobowce, komnaty i dziedzińce. I że klasztor posiadał wielką szkołę, stacje naukowe i obserwatorium astronomiczne. Szczęściem biblioteka, złożona z 80 tysięcy tomów i 40 tysięcy rękopisów, wśród nich Dantego, oraz zbiór 800 dokumentów królewskich, cesarskich i bulli papieskich znalazły wcześniej schronienie w archiwach watykańskich. Opactwo Monte Cassino, od roku 1321 także biskupstwo, doszło do takiej potęgi, że stanowiło okresami rodzaj samodzielnego państwa nad rozległym terytorium. Opaci zasiadali na stolicy Piotrowej.

Opactwu na Monte Cassino zawdzięczają powstanie miasto Cassino i zamek Rocco Janula. Starorzymskie miasto Cassinum przestało istnieć w V wieku po najazdach Gotów i Wandalów, a w średniowieczu opaci pobudowali tu San Germano. Jakieś germańskie fatum chodzi za Cassinem. Bo choć miasto opackie wróciło w r. 1863 do swej historycznej nazwy Cassino, San Germano przylepiło się do sąsiedniej, niedużej gminy Piedimonte San Germano. Iglica skalna, jak palec wyciągnięty nad drogą do Kapuy, nazwana w czasie ostatniej wojny "wzgórzem kata", nosiła kiedyś na swych barkach zamek, mający zbrojnie osłaniać opactwo. Ulegał on burzeniu wielekroć częściej, niż sam klasztor, któremu też nieraz zegar historii wybijał czarne godziny. Wszystkie wszakże katastrofy Monte Cassino, pożary i trzęsienia ziemi obramowane są najazdami Germanów w latach 581-589 i Niemców w 1943-44. Szyszak błyszczący ze strusimi czuby był straszniejszy od moru nie tylko dla Litwy. Zamek na Rocca Janula był solą w oku cesarzy niemieckich. Chcąc trzymać w szachu papieski bastion opactwa, Hohenstaufowie osadzali na zamku Sycylijczyków, co trwało aż do XV wieku. Fryderyk II uważał zamek za klucz państwa sycylijskiego. Różne wojska grabiły klasztor, burzyły go do szczętu tylko niemieckie.

Kiedy w dniu 15 marca 1944 samoloty sprzymierzonych bombardowały obsadzone przez Niemców opactwo, straszliwy patos zagłady przypomniał korespondentowi brytyjskiemu dzień 1 września 1939 nad Warszwą. Tam trzeba szukać prologu i sprawców krwawych lat 1939-1945. Boża wola włożyła w ręce Polaków miecz sprawiedliwości, który spędził burzycieli Warszawy i świata z ruin Monte Cassino. Trzykrotnie tu chwytali Polacy zgubioną nić wolności: gdy generał Dąbrowski strzegł tej ziemi, gdy w r. 1918 organizowała się armia polska z jeńców austriackich w koszarach Villa u stóp Monte Cassino i gdy Nike polska krwawiła złamanym skrzydłem na gruzach opactwa w maju 1944 i nad grobami siedmiu narodów.

Kiedy czerwone od bezsenności i śmiertelnego znużenia oczy żołnierzy polskich wypatrywały po zejściu z pozycji miejsca dla odpoczynku wśród zakurzonych oliwek, gdzieś tam za rozbitym miasteczkiem z rowu wyglądał szczyt obalonego krzyża i litery INRI. Boża Męka nie opuszcza naszej historii. W dzień Matki Boskiej Dobrej Rady w ścieżki mułowe, wspinające się ku jarom i wzgórzom zasłaniającym północ klasztorowi Monte Cassino, wsiąkły pierwsze krople potu żołnierzy polskich, a w dniu Wniebowstąpienia Pańskiego w gruz opanowanego już wzgórza klasztornego spłynęły ostatnie krople krwi tych żołnierzy. Między tymi dwoma świętami, między dwiema modlitwami zamyka się akt dziejów narodu, walczącego o miejsce pod słońcem i pokazującego krwią źródła swej kultury.

Kraj dokoła Monte Cassino jest oliwkowy. Nieprzeliczone te, szare, zakurzone drzewka rozsypane są po wzgórzach jak żołnierze. Żołnierską też śmiercią poginęły oliwki pod Monte Cassino.

Klasztor Monte Cassino świeci nad Szóstą Drogą jak Jasna Góra. Od Neapolu aż po Venafro, błyszczące wieżami, droga śmiga równiną. Za Venafro nurkuje w morzu oliwek. Nagle wyrosłe wzgórza tworzą kurtynę sceny wojennej. Trzeciorzędne dróżki przez San Vittore i Cervaro i nawet trakty mułowe, wijące się dokoła gór, z rozprutymi wnętrznościami, sypiącymi się gęstym prochem, pogruchotane wioski, ściany domków samotnych, nawet kapliczki i krzyże przydrożne odegrywały wielkie role na scenie bitwy o Cassino.

Prosto na południe od opactwa rzeka Liri, płynąc dotąd w głębokich wężownicach na wschód, jakby skierowana wyższą siłą, nagle odwraca się na południe, uderzona wartkim dopływem Rapido (Bystrej) z północy. Odtąd już szerokie jej rozlewisko nosi nazwę Garigliano. Masyw gór wokół Monte Cassino oplata błękitno-zielona wstęga dwu tych rzek. Rapido toczy się z gąszcza skalistych olbrzymów, nad którymi króluje Monte Cairo. Jest ich tyle, do siebie podobnych, iż większość nie posiada własnych imion, lecz oznaczona jest magiczną trójką cyfr. Jedna z tych trójek — 593 — na wprost klasztoru, jest już własnością historii Polski. U jej podnóża zastygło w honorze śmierci tysiąc siedemdziesiąt sześć grobów polskich, nakrytych kamiennym orłem.

W dole leżą przesypane wielokrotnie łopatą śmierci gruzy miasta. Drzewa na olbrzymiej przestrzeni, na wzgórzach i w dolinie rzek są martwe. Rzeki, ranne pociskami, zieją ropą podskórnych wylewów. Liri w śmiertelnym strachu zgubiła swe koryto. Napisy na gruzach, jak w muzeum, wskazują, gdzie było starorzymskie kolosseum, któremu się nie udało przetrwać XX wieku po Chrystusie, gdzie Chiesa del Crocifisso, gdzie Hotel pod Różami i Continental, siedmiokrotnie wyrywany z rąk. Życie jednak podnosi i to miasto i sposobi je na nowe najazdy.

Piedimonte San Germano zmieniła wojna w kopiec gruzów. W środku byłego miasteczka ocalała tabliczka z nazwą ulicy "Buon-cuore" — "Dobrego Serca", a z kościoła — nietknięta figura Niepokalanego Serca Najświętszej Marii Panny, czczonej w całej diecezji Aquino. Serce to wołało do siebie w modlitwie królów i wygnańców. To serce ocalało.

JAN BIELATOWICZ

ZJEDNOCZENIE W NIEMCZECH

W ostatnich dniach lipca odbył się zjazd Rady Naczelnej Zjednoczenia Polskiego w w Niemczech, organizacji obejmującej całość polskiego wychodźstwa przymusowego w tym kraju. Zjazd ten położył kres trwającym od dłuższego czasu sporom w tej organizacji i służyć mógłby za wzór skłóconej emigracji w niektórych innych krajach.

Zjednoczenie Polskie powstało w końcu r. 1945 drogą całkowicie "oddolną". Samorzutne komitety obozowe połączyły się w porozumienia okręgowe a następnie strefowe. Pierwszy zjazd strefowy, w strefie brytyjskiej, odbył się w końcu r. 1945 w Bardowiku, z inicjatywy głównie p. A. Malatyńskiego. W początkach 1946 istniało już zjednoczenie obejmujące teren całych Niemiec zachodnich i kilkaset tysięcy ludności polskiej. Na czele tej pracy stali ludzie "terenowi", którzy wybili się rzeczywistą a niewdzięczną pracą wśród "dipisów". Poza Zjednoczeniem pozostało kilkanaście tysięcy kombatantów, którzy mieli nieco lepszy "status" i w związku z tym odrębne interesy.

Całość działała harmonijnie i pożytecznie do wiosny 1946, kiedy terenem zainteresowały się pewne czynniki polityczne z poza Niemiec. Pojawili się wówczas emisariusze z południa i północy, zaczęło się przygotowywanie światowego związku emigracji wojennej, zamierzonego jako organizacja polityczna, konkurencyjna dla istniejących partyj politycznych. Rozbudzono ambicje osobiste niektórych działaczy, zaczęły się podkopy i "zaskoczenia taktyczne" w rodzaju nagłej zmiany Prezydium Zjednoczenia w przededniu zjazdu brukselskiego i wreszcie wyładowało się wszystko w mało budującym sejmiku w Brukseli w listopadzie 1946.

Rok 1947 przyniósł odmianę sytuacji w Niemczech i klęskę organizatorów brukselskich na zjeździe Rady Naczelnej w dniu 19 marcu. Pokonani nie chcieli uznać tego stanu rzeczy i stan był bliski rozłamu. Szkoda dla pracy społecznej była z tego oczywista.

W lipcu, głównie z inicjatywy p. Witolda Olszewskiego, odbyła się konferencja działaczy społecznych z całych Niemiec celem uregulowania wszystkich spraw niemieckich; zgromadzeni wykazali dużo dobrej woli. Uregulowano sprawę kombatantów, którzy przystąpili do Zjednoczenia. Przyznano proporcjonalną reprezentację Zjednoczeniu z Bawarii, o którą walczyło ono od roku. Zmodyfikowano statut w kierunku usprawnienia centrali i usunięcia walk personalnych. Ustalono proponowany skład nowego Prezydium. Wszystkie te wnioski zatwierdził zjazd Rady Naczelnej, zwołany przez prezesa Cazrkowskiego, a odbyty bezpośrednio po konferencji.

Skład nowego prezydium jest następujący: Prezes — adw. J. Czarkowski (prezes dotychczasowy, strefa brytyjska), wiceprezesi — Kruk-Strzelecki (kombatanci) i adw. F. Szwajdler (strefa brytyjska), sekretarz — S. Nowicki (strefa amerykańska). Zjazd Rady Naczelnej uchwalił na zakończenie jednomyślnie wysłanie depesz do P. Prezydenta R. P. Augusta Zaleskiego i prezesa rady ministrów gen. Komorowskiego.

KULTURA I ŻYCIE

Głównie o języku polskim — Konrad Górski o poezji — Epigramaty prozą — Film i teatr.

SPRAWY polskie, którymi się od czasu do czasu w naszych kronikach zajmujemy, są zwykle sprawami wydawniczymi. Zarówno główne przejawy życia kulturalnego na emigracji, jak i dowody podobnej aktywności w kraju, ograniczają się do publikacji książkowych, oczywiście gdy chodzi o nasz zasięg kronikarski.

Do niewątpliwie pożytecznych rzeczy spośród ostatnio wydanych w Polsce należy zaliczyć książkę profesora Tadeusza Lehr-Spławińskiego pt. *Język polski* (Warszawa, S. Arct, 1947) oraz studium z zakresu estetyki profesora Konrada Górskiego pt. *Poezja jako wyraz* (Wyd. Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń, Księgarnia Naukowa T. Szczęsny, 1946).

Prof. Lehr-Spławiński, zasłużony badacz języków i dialektów zachodnio-słowiańskich ze szczególnym umiłowaniem kaszubszczyzny, autor znakomitej *Gramatyki połabskiej* oraz współwydawca pracy w jęz. angielskim The *Cassubian Civilization*, posiadał wszelkie warunki do opracowania wzorowego a przytem popularnego podręcznika o naszym języku ojczystym.

Ilość książek na ten temat jest w naszej literaturze naukowej stosunkowo niepokaźna, co szczególnie uderza w zestawieniu z Anglią gdzie troska o język macierzysty wyraża się przede wszystkim w słownikach i poradnikach różnego typu i poziomu, nie mówiąc już o zarysach historycznych. (U nas zaniedbań w tym względzie było dużo). Wysoce produktywny uczony A. Brueckner, któremu wiedza o języku polskim tak wiele zawdzięcza, posiadał ogromny zasób informacji, ale — niestety — nie zawsze umiał podać je czytelnikowi w przejrzystej formie, a pośpiech wykonania doprowadzał do niekonsekwencji układu i różnych drobnych niedbałości naprz. w jego dwutomowych dziejach literatury polskiej tytuły podawane są często w skróceniu, a daty kapryśnie rozrzucone po rozdziałach, osłabiają wartość książki jako źródła informacji; to samo powiedzieć można o brucknerowskim słowniku etymologicznym, który jest w dużej mierze zbiorem impresji naukowych, a nie logicznie opracowanym podręcznikiem. Lehr-Spławiński, uczony młodszej generacji, koncentrujący się w swoich badaniach na węższym polu naukowym, odznacza się nie tylko konsekwencją metody a ścisłością faktów, zwięzłością argumentacji, ale i — co najważniejsze — umiejętnością w przeprowadzaniu analogii i ostatecznych wniosków. Lektura jego nowej pracy o języku polskim potwierdza zalety Lehra-Spławińskiego jako badacza i popularyzatora. Szczególnie pierwsze rozdziały pracy, bardziej naukowe w zakresie materiału i formie wykładu, powinny przyczynić się do wyjaśnienia pewnych problemów lingwistycznych średniowiecznej polszczyzny wśród szerszych kół intelektualnych, które mają nieraz bardzo mgliste wyobrażenia o epoce przed Kochanowskim. Uwagi Lehra-Spławińskiego, dotyczące języka prasłowiańskiego, a potem grupy "lechickiej" poparte są dobrze dobranym materiałem ilustracyjnym. Lista wyrazów z osiemnastowiecznego słowniczka Drzewian (Lueneburger Wentland), obok odpowiedników polskich umieszczona, ukazuje przykładowo wspólnotę językową plemion lechickich, tak samo, jak zachowana do dziś dnia gwara kaszubska udawadnia spoistość organizmu lingwistycznego, z którego wyrósł literacki język Polaków.

W rozdziale trzecim *Języka polskiego* znajdzie czytelnik analizę głównych grup dialektów na historycznym terytorium polskim, to jest mazowieckiej i wielkopolskiej, oraz przykłady, wskazujące na rozwój naszego języka literackiego ze źródeł wielkopolskich.

Rozdziały piąty i szósty poświęcone są polszczyźnie średniowiecznej (od 12-go do 15-go wieku włącznie), w których Lehr-Spławiński nie szczędzi obszernych cytatów, dając czytelnikowi mało obeznanemu ze starymi tekstami, sposobność do przestudiowania ich w oryginalnej pisowni, oraz w transkrypcji. Autor *Języka polskiego* stosuje tę metodę i w dalszych rozdziałach, posługując się licznymi wyjątkami z klasyków polskich, które zawsze opatrza zwartymi objaśnieniami (dokładność w datach, tytułach i różnych typach pisowni godna szczególnej pochwały; przyczyniła się do tego staranna korekta wydawców).

Rozdział omawiający niedocenioną epokę klasycyzmu polskiego także posiada bogaty materiał faktyczny, choć trzeba obiektywnie stwierdzić — że im dalej w czasy nowożytne, tym bardziej metoda analityczna Lehra—Spławińskiego potyka się z trudnościami, wynikającymi zarówno z nadmiaru źródeł, jak i z popularyzatorskiego charakteru książki. Profesor Lehr-Spławiński za bardzo może daje się tu wciągać w rozważania natury stylistycznej, ze szkodą dla zagadnień czysto filizoficznych — stąd zbędne naszym zdaniem generalizacje w ocenie prozy dziewiętnastego wieku, przy jednoczesnym braku dokładniejszego opisu przemian w samym języku.

Ta dwutorowość ostatnich rozdziałów zamazuje niewątpliwie profil całego studium, nie zadawalając bardziej krytycznego czytelnika takimi naprzykład rozważaniami, jak pod koniec rozdziału dziesiątego, gdzie profesor Lehr-Spławiński spłyca problem polskiej Awangardy zamiast oddać tę sprawę do oceny sumiennemu semantykowi (lingwista, który wydaje się nie doceniać twórczego wpływu metafory na język literacki i język potoczny, wytrąca sobie samemu broń z ręki). Końcowe partie tej wysoce wartościowej pracy o języku polskim zyskałyby niechybnie, gdyby autor zredukował swoje impresje z zakresu stylistyki, a zbadał osiągnięcia językowe poetów ostatniego dwudziestolecia, posługując się analogiami z siedemnastego wieku (polski barok), kiedy język iteracki przechodził równie interesujące przemiany.

Profesor Lehr-Spławiński jest w naszym przekonaniu najbardziej powołanym badaczem do tego rodzaju "rewindykacji" niedocenionej współczesności.

Profesor Konrad Górski w swoim studium o estetyce poezji, przeprowadzonym tak samo z dużą sumiennością naukową, posługuje się zdobyczami krytki europejskiej ostatniej epoki, szczególnie angielskiej i francuskiej, choć może zbyt dużą wagę przywiązuje czasem do poglądów Abercrombiego nie uwzględniając zupełnie szkoły Richardsa ani estetyków amerykańskich. Dla czytelnika krajowego, odciętego od źródeł zagranicznych, książka prof. Górskiego jest niezmiernie pożyteczna; jej wartość informacyjna — dużej jakości, jej argumentacja — subtelna, a przytem silna, jej orientacja — raczej nowatorska. Górski daje miłośnikom mowy wiązanej klucz do języka poetyckiego, zachęca do badań indywidualnych, wyostrza świadomość krytyczną, której tak bardzo brak wśród naszych konsumentów sztuki. W zakończeniu studium znajdujemy następujący fragment, który podaje istotę wywodów autora:

"Konsekwencję stanowiska Crocego i jego zwolenników jest całkowite utożsamienie języka i literatury, roztopienie niejako języka w sztuce literackiej. Konsekwencją stanowiska formalistów budowanie chińskiego muru między językiem, pojętym jako środkiem komunikacji, i literaturą jako sztuką posługującą się językiem dla celów estetycznych, ale obcą zarazem myśli o wyrażaniu i komunikowaniu jakiejkolwiek rzeczywistości duchowej. Konsekwencją stanowiska, które starała się uzasadnić niniejsza książka, jest uznanie wszystkich zjawisk języka za fakty wyrazu i komunikacji, literatury zaś za pewien typ języka przystosowany do szczególnych celów wyrazu i komunikacji."

Stanowisko Górskiego, zresztą pokrewne poglądom Abercrombiego, tłumaczy najpełniej rozdział *istota poezji*. Problem różnych funkcji języka oraz komunikatywności literatury, który tak absorbuje Górskiego, został lapidarnie wyrażony przez krytyka i poetę romantycznego, Coleridge'a: "Prose — words in their best order"; aż dziw czemu Górski pomija milczeniem Coleridge'a: od niego przecież zaczyna się właściwie nowoczesna krytyka angielska!.

*

Kto aprobuje groteskę, a nie doszukuje się w niej poufnych aluzji, może pogodnie oglądać film *Copacabana* z Groucho Marxem i Carmen Mirandą.

Kto ma silne nerwy i lubi słuchać opowieści o duchach, powinien zobaczyć sztukę *Trespass*, pióra aktora Emlyna Williamsa (w *Globe Theatre*) choć ostrzegamy przed tanią mistyką w końcowych scenach dramatu.

Poza ym — na scenie i na ekranie — sezonowa nuda.

J.P.

20 sierpnia, 1947

P.S.

W interesującej wystawie *Artists of Fame and of Promise*, urządzonej przez znaną galerię londyńską *The Leicester Galleries*, bierze udział artysta polski, współpracownik naszego pisma, Jerzy Faczyński ("*Stufy*", nr. katalogowy 106). Wystawa ta imponuje ilością sławnych nazwisk; dość wymienić następujące: Bonnard, Picasso, Sickart, Pisarro, Paul Nash, Paul Klee Wyndham Lewis, Augustus John.

Londyn, 25. VIII. 47.

UWAGI

NARODY ZJEDNOCZONE PRZED WAŻNĄ PRÓBĄ

Decyzja rządu amerykańskiego stawiająca zagadnienie Grecji na porządek obrad najbliższej sesji Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych (15 września), może stanowić punkt zwrotny we wzajemnych stosunkach między Ameryką a Rosją, w każdym razie w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Sprawą, dokoła której rozegra się batalia, jest zagadnienie veta, zakładanego parokrotnie w ostatnim czasie przez reprezentanta rosyjskiego, p. Gromyko, w Radzie Bezpieczeństwa; veto sowieckie uniemożliwiło przyjęcie do grona Narodów Zjednoczonych Włoch i Austrii, a z drugiej strony również przez użycie veta Moskwa udaremniła ustanowienie stałej komisji bałkańskiej, której zadaniem miało być usunięcie "gróźb politycznej niezależności i terytorialnej całości Grecji".

Wobec veta rosyjskiego w odniesieniu do rezolucji bałkańskiej i wobec proklamowania przez "generała" Markosa greckiego "rządu demokratycznego", polityka amerykańska stanęła w obliczu dwóch możliwości: albo spowodować usunięcie Rosji z organizacji Narodów Zjednoczonych (rozwiązanie takie proponował polityk republikański Foster Dulles parę miesięcy temu na tle pogwałcenia przez Rosję praw ludzkich, sformułowanych w Karcie Narodów Zjednoczonych), albo obejść veto przez przeniesienie sprawy Grecji z Rady Bezpieczeństwa do Zgromadzenia. Oświadczenie H. Johnsona, reprezentanta Stanów Zjednoczonych przy O.N.Z., świadczy, że Waszyngton postanowił pójść drugą drogą. Veto — powiedział Johnson — jest używane w obronie agresji satelitów sowieckich przeciwko Grecji i Stany Zjednoczone nie będą "siedziały cicho". Rezolucja, potępiająca tę agresję, otrzymała 9 głosów przeciwko 2 w Radzie Bezpieczeństwa. Jeżeli na wrześniowej sesji Zgromadzenie (w którym veto nie obowiązuje) zaleci podjęcie akcji, to wówczas — choć zalecenie to nie będzie posiadało mocy prawnej — Stany Zjednoczone są gotowe dostosować się do tej uchwały i "współpracować z podobnie myślącymi członkami Narodów Zjednoczonych w podjęciu kroków, które mogą okazać się konieczne w granicach zakreślonych przez zalecenia Zgromadzenia . . . . celem dania Grecji ochrony, która jej się należy".

Podstawę do tego rodzaju akcji może stanowić punkt 51 Karty, który podtrzymuje prawo indywidualnej lub zbiorowej samoobrony na wypadek agrsji, zanim zacznie działać Rada Bezpieczeństwa. W ten sposób rząd Stanów Zjednoczonych, jeśli zajdzie konieczność, może podjąć obronę niepodległości Grecji, omijając Radę Bezpieczeństwa z obowiązującym w niej vetem.

Powstaje pytanie, jak zareaguje na to Rosja? Jeżeli propozycja amerykańska zostanie przyjęta większością głosów w Zgromadzeniu, bardzo być może, że Sowiety same wycofają się ze Zjednoczonych Narodów i pociągną za sobą swoich satelitów. Oznaczałoby to definitywne zerwanie stosunków między światem wschodnim a zachodnim.

PRZYSZŁOŚĆ NIEMIEC

Innym zagadnieniem, które również oczekuje definitywnego rozwiązania na jesieni, jest problem niemiecki. W listopadzie mają zjechać do Londynu ministrowie spraw zagranicznych wielkich mocarstw celem podjęcia dalszej dyskusji nad przyszłością Niemiec. Ostatnia konferencja w Moskwie — jak wiadomo — zakończyła się całkowitym niepowodzeniem. W międzyczasie różnice między mocarstwami w tej sprawie jeszcze bardziej się pogłębiły. Moskwa przez uniemożliwienie jedności ekonomicznej Niemiec zmusiła Stany Zjednoczone i W. Brytanię do reorganizacji ich zon i ustalenia nowego poziomu dla produkcji przemysłowej w Niemczech zachodnich. Chodzi o to, by zony zachodnie mogły stanąć gospodarczo na własnych nagach i odciążyć zarówno Stany Zjednoczone jak i Anglię w kosztach okupacyjnych.

Toczące się w Londynie rozmowy na temat podniesienia produkcji przemysłowej Niemiec mają jako cel główny pozyskanie Francji dla nowego planu amerykańsko-angielskiego. Polityka francuska do tej pory uporczywie broniła tezy, że potencjał gospodarczy zachodnich sąsiadów Niemiec powinien mieć pierwszeństwo w zakresie odbudowy, zwłaszcza w dziedzinie produkcji stali. Stąd Francja gotowa jest zgodzić się na powiększenie produkcji węgla w zagłębiu Ruhry, ale pod warunkiem, że węgiel ten w znaczniejszych ilościach będzie dostarczany Francji. Ze strony francuskiej zwraca się uwagę, że hutnictwo francuskie produkuje dziś jedynie połowę tego, co mogłoby produkować przy zwiększonej dostawie koksu. Przy czym zwiększona produkcja nie wymagałaby żadnych nowych inwestycji.

Drugi postulat francuski dotyczy zarządu w zagłębiu Ruhry. Francja jest przeciwna oddaniu pełnego zarządu nad Zagłębiem Ruhry samym Niemcom, natomiast proponuje stworzenie wspólnego organu zachodnio-europejskiego, do którego należałaby administracja i kontrola nad produkcją niemiecką. Wreszcie politycznie Francuzi najchętniej widzieliby utworzenie szeregu państw zachodnio-niemieckich, z większym zakresem odpowiedzialności i wydzielonych na nowych zasadach geograficznych i ekonomicznych. Państwa te jako poszczególne człony miałyby stać się z czasem organicznymi częściami systemu politycznego i gospodarczego Europy zachodniej.

Rosja założyła ostry protest przeciwko rokowaniom londyńskim na temat podniesienia poziomu produkcji niemieckiej bez jej udziału.

Mimo tego protestu rozwój wypadków idzie nieodwołalnie w kierunku definitywnego podziału Niemiec. Nic nie wskazuje na to, by listopadowa konferencja ministrów spraw zagranicznych w Londynie mogła ten stan rzeczy odmienić. Raczej przeciwnie, przyczyni się do jego ostatecznego utwierdzenia.

NOWE DOMINIA: INDIE I PARKISTAN

W dniu 4 lipca b.r. premier Attlee przedłożył w Izbie Gmin projekt ustawy o Niepodległości Indii, przewidujący utworzenie z dniem 15 sierpnia 1947 r. dwu niezawisłych dominiów: Indii i Pakistanu.

Główne postanowienia tego projektu były następujące: powstanie z dniem 15 sierpnia 1947 niezawisłych dominiów Indii i Pakistanu; nominacja przez Króla gubernatora generalnego dla każdego z dominiów; usunięcie z tytułów królewskich tytułu "cesarza Indii", z dniem przekazania władzy (15 sierpnia) Rząd J.K. w Zjednoczonym Królestwie nie będzie ponosił odpowiedzialności za rządy w jakimkolwiek z terytorium, które wchodziło w dotychczasowy skład Brytyjskich Indii. Władza zwierzchnia Króla nad państwami indyjskimi również ustanie z dniem 15 sierpnia.

Projekt ten został przyjęty przez obie Izby i w dniu 18 lipca b.r. uzyskał zgodę królewską.

Na życzenie Partii Kongresu Król mianował generalnym gubernatorem Dominium Indii Lorda Mountbatten'a dotychczasowego wicekróla, zaś na wniosek Ligi Muzułmańskiej jej przywódcę Jinnah gubernatorem generalnym Pakistanu.

Na uroczystościach w dniu 14 i 15 sierpnia w Karachi i New Delhi stolicach nowych dominiów, wice-król Lord Mountbatten przekazał formalnie władzę brytyjską nad Indiami rządom nowopowstałych dominiów. W ten sposób zokończył się 90 letni okres panowania brytyjskiego w Indiach.

Większość państw indyjskich, które z dniem 15 sierpnia uzyskały formalną niepodległość na równi z obu dominiami, zgodziła się przyłączyć do jednego z dwu dominiów przy zachowaniu wewnętrznej autonomii, jaką one posiadały będąc pod zwierzchnością brytyjską. Państwa te przystępując do jednego z dwu dominiów zgodziły się powierzyć ustawodawstwu dominialnemu i rządom dominiów sprawy obrony, sprawy zagraniczne i komunikację. Z większych państw indyjskich narazie nie przystąpił do żadnego z dominiów Hyderabad zatrzymując przyznaną mu zupełną niepodległość i nawiązując stosunki dyplomatyczne z obu dominiami.

Obok podziału terytorium między oba dominia drugim niezwykle trudnym problemem pozostaje rozdział sił zbrojnych, które dotychczas podlegały dowództwu brytyjskiemu wspólnemu dla całych Indii. Zanim ten podział sił zbrojnych nastąpi i poszczególne dominia wezmą odpowiedzialność za armię i obronę terytorium — decyzją obu dominiów została utworzona Wspólna Rada Obrony pod przewodnictwem Lorda Mountbatten'a. Aż do momentu faktycznego podziału sił zbrojnych i do czasu przekazania poszczególnych jednostek wyznaczonym już dowódcom w poszczególnych dominiach, marszałek Auchinleck zatrzymuje naczelne dowództwo nad siłami zbrojnymi jednak nie będzie odpowiadał za utrzymanie prawa i porządku, również nie będzie posiadał dowództwa operacyjnego nad poszczególnymi jednostkami z wyjątkiem tych jednostek, które znajdą się w tranzycie z jednego dominium do drugiego.

Fakt utworzenia na kontynencie azjatyckim dwu państw, z których jedno liczbą ludności przewyższa Rosję Sowiecką, a drugie jest największym liczebnie państwem muzułmańskim, ma bardzo doniosłe znaczenie.

Z jednej strony wchodzi na teren azjatycki i międzynarodowy państwo Hindusów, które już obecnie w poczynaniach swego głównego czynnego polityka Pandit Nehru pretenduje do przewodnictwa ludom azjatyckim, z drugiej strony państwo muzułmańskie uformowane na podstawie wyznaniowej, niewątpliwie w miarę konsolidacji, będzie sięgało po przewodnictwo narodów muzułmańskich Azji.

Oba państwa, jeżeli potrafią szybko skonsolidować się wewnętrznie i ułożyć przyjaźnie wzajemne stosunki, staną się zasadniczym czynnikiem równowagi politycznej w Azji i w świecie.

SPRZECZNE Z LOGIKĄ

Lipcowa deklaracja Koncentracji Demokratycznej spotkała się ze zrozumiałym sprzeciwem ośrodków politycznych, walczących dalej o prawa Polski. Sprzeciw ten wyrażony został zarówno przez organizacje, jak też przez poszczególnych ludzi; wśród jednostek, zabierających głos w tej sprawie byli także ludzie stojący blisko grup tworzących Koncentrację. Do najbardziej jaskrawych wypowiedzi przeciwnych deklaracji należało wystąpienie p. Tytusa Filipowicza członka Stronnictwa Demokratycznego.

Najwięcej sprzeciwów i to w formie bardzo stanowczej, napotkały te ustępy, które dotyczyły granic terytorium państwowego —, o którego *całość* trwa nieustannie walka. Sformułowanie tez granicznych, a właściwie wzmianka na ten temat, opierało się w deklaracji na wyraźnym określeniu granicy zachodniej w oparciu o Odrę i Nisę Łużycką; co się zaś tyczy granicy wschodniej—wprowadzony został por az pierwszy od czasów Mikołajczyka znak zapytania w postaci nieokreślonej oferty pod adresem

"sąsiednich narodów", z którymi Polska będzie musiała ułożyć współżycie na podstawie cesji terytorialnych. Tak tylko można regułami logiki wytłumaczyć owo lipcowe "dopóki i o ile" w deklaracji koncentracyjnej. W następstwie warunków wytworzonych przez zasadniczą zmianę położenia, czyli po owym czasie zamkniętym w klamry pojęcia "dopóki", Polska zaoferuje sąsiadom negocjacje w których jeszcze raz kwestia terytorium polskiego będzie "zgodnie" rozpatrzona. Nie będziemy dyskutowali nad optymizmem dotyczącym przyszłej "zgodności" w rokowaniach. Naszym zdaniem logika wojny, podjętej o całość terytorium i o należne Polsce sprawiedliwe zabezpieczenie na zachodzie — wyklucza owo "o ile i dopóki". Sprawy trzeba postawić jasno: walczymy o Polskę opartą na zachodzie o Odrę i Nisę, na wschodzie o linię traktatu ryskiego.

Tak tę walkę pojmuje społeczeństwo, które pozostało na emigracji politycznej i bierze udział we wszystkich cieniach tułactwa nie dlatego, żeby potem konferować z mniej lub więcej przyjemnym sąsiadem, lecz dlatego, żeby wrócić na te ziemie, które są istotną składową treścią Polski jako zjawiska politycznego, gospodarczego i cywilizacyjnego.

Koncentracja Demokratyczna ostatnio próbuje raz jeszcze wyjaśniać swe stanowisko w tych sprawach. Czyni to za pomocą gościnnych łamów "Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza". W dniu 19 sierpnia ukazało się w tym piśmie nowe wyjaśnienie kierowane do Związku Ziem Północno-Wschodnich. Wyjaśnienie to jeszcze trudniej zrozumieć niż samą deklarację. Powołując się na punkt 2 deklaracji (wizja sfederowanej przyszłości) ugrupowania koncentracyjne tłumaczą, że do czasu zrealizowania tej sielanki narodów, trwać będą na stanowisku obowiązywania linii granicznej na wschodzie — ustalonej w traktacie ryskim. "*Z chwilą zaś, gdy po ostatecznym upadku niewoli totalitarnej, wyzwolone z niej narody będą mogły przystąpić do swobodnego określania swych dalszych losów, Naród Polski, zdaniem Koncentracji Demokratycznej — wróci do tradycyjnej polityki demokracji polskiej wyrażonej w haśle "wolni z wolnymi równi z równymi" i rozwiąże w drodze przyjaznego porozumienia problemy ewentualnych sporów i linii granicznych wewnątrz dobrowolnego związku wolnych narodów na wschodzie*".

Innymi słowy, raz jeszcze Koncentracja Demokratyczna stawia nad przyszłością naszych ziem wschodnich znak zapytania, powołując się na ograny do znudzenia slogan "wolnych z wolnymi." Jak wiadomo ci wolni z wolnymi nie chcą wcale rozmawiać bez okrojenia terytorium polskiego do obecnego stanu faktycznego po podboju sowieckim. Analiza polityczna środowisk ukraińskich sprowadza nas do twierdzenia, że nie ma tam żadnej poważnej grupy skłonnej do takiego "przyjaznego" załatwienia i delimitacji. Jest natomiast program realizowany podczas okupacji sowieckiej i niemieckiej: "*Lachy za San*".

Nawet akcenty dobrej woli w odniesieniu do granicy zachodniej, wypadły conajmniej niezręcznie. O ziemie na zachodzie Polska toczyła wojnę z Niemcami przez długich sześć lat. To prawda, że wojna nasza była par excellence obronna, ale skoro doszło do tak straszliwego spięcia, jakiego historia nie pamięta od czasów zmagań z Zakonem, Polska musiała wystawić rachunek — rachunek stuleci. Zrozumiał to doskonale nasz naród, podejmując na ziemiach zachodnich ogromny wysiłek włączenia tego terytorium do organizmu polskiego. Uwaga Koncentracj" że "*granice te nie zostały dotychczas ustalone aktem miedzynarodowym równie definitywnie jak granica między Rzeczpospolitą Polską i Związkiem-Sowieckim*", uwaga tego rodzaju jest posunięciem osłabiającym naszą zachodnią linię graniczną.

Wyjaśnienie Koncentracji jest jak widzimy niedostateczne. Zamiast wyjaśnić — zaciemnia nie tylko sprawę granicy wschodniej, ale i zachodniej. Należałoby domagać się nowego wyjaśnienia, ale po doświadczeniach z dotychczasowymi próbami — nie będziemy na to nastawać.

W obecnym momencie wysuwanie wątpliwości w sprawie ziem wschodnich lub jakiekolwiek kwestionowanie naszych praw jest bez wątpienia szkodliwe.

PODWÓJNY CEL PROCESÓW W POLSCE

Równolegle niemal z procesami niemieckich zbrodniarzy wojennych, winnych pospolitych zbrodni, wszędzie, gdzie tylko Sowiety się zainstalowały, odbywają się procesy przeciw miejscowym patriotom. Systemem dawno wypróbowanym w Sowietach stawiany jest zarzut szpiegostwa. Szpieguje każdy, kto w myśli chociażby nie jest całkowicie złamany.

Cel procesów politycznych, opartych na zarzutach zdrady stanu jest podwójny. Po pierwsze: przedstawia się społeczeństwu podbitemu bezcelowość jakiegokolwiek wysiłku, zmierzającego do zachowania własnej osobowości, minimalnej choćby niezależności jednostki, poczuwania się do łączności ze wszystkimi, którzy o własną Ojczyznę walczyli i walczą. Pokazuje się na tych procesach misternie zadzierzgniętą siatkę omotania społeczeństwa, czuwania nad jego tęsknotami, sympatiami i myślami, nad życiem we śnie nieledwie.

Jest to zatem jedno z narzędzi masowego terroru, zastraszania tym bardziej cynicznego, że ubranego w prawo, w sprawiedliwość, zaopatrzonego w dostojeństwo religijnej przysięgi wobec krzyża. Niema tygodnia, żeby rewolwerowa prasa reżymu (innej tam nie ma) nie krzyczała tytułami, pod którymi wypisane są wszystkie zbrodnie Polaków od sympatii do "Londynu" zaczynając, na sympatiach do Hitlera i Goebbelsa kończąc. Jest to jakgdyby — rękami sowieckimi prowadzony — proces "denazyfikacji" narodu polskiego, tego, który przez hitleryzm właśnie był najzajadlej w Europie tępiony. Konstrukcja procesów i śledztwa, upadlanie i upokarzanie oskarżonych — to jakby "prywatna satysfakcja" bolszewików nad Polakami.

Zastraszenie społeczeństwa jest jednak tylko pierwszym, utylitarnym celem nieustannych procesów. Celem drugim, realizowanym z ogromnym nakładem wszechstronnego wysiłku, jest *zmiana polskiego charakteru narodowego*, zabicie wszelkiego idealizmu, wyznawania rzymskiej jeszcze zasady *dulce et decorum est pro patria mori*. Procesy bowiem aranżowane są tylko wtedy, gdy "materiał" jest dostatecznie urobiony, gdy wszyscy, lub prawie wszyscy oskrażeni są złamani w śledztwie, gdy złudzeni fałszywymi obietnicami podpiszą zgodę na takie zeznania, które im uratują lub będą mogły uratować życie.

Nie ma naprawdę bardziej bolesnego widowiska nad tę pierwszą w historii naszej nędzę ludzi steroryzowanych. Nie ma zbyt małych słów których by oskarżeni na takich procesach dla ratowania swego życia nie rzucili pod nogi nowemu *herrenvolkowi*.

Specjalnie nastawiona prasa i radio czyhają tylko na każdy przejaw ludzkiej słabości. Z kolejnych, tragicznych scen, buduje propaganda reżymowa tezę "polskiego słomianego ognia", braku wytrzymałości, niskich instynktów, braku solidarności. Procesy mają społeczeństwu wmówić że jest już z gruntu zgniłe, pokazać w przeraźliwie krzywym zwierciadle jego najlepsze dążenia — walkę o wolność i sprawiedliwość według zasad tysiąca lat polskiej historii.

Drobne osobistości oskarżonych rozdmuchiwane są do rozmiarów przywódców. Jeśli to jeszcze jest ktoś, kto odegrywał jakąś rolę w polskim ruchu podziemnyn za czasów okupacji niemieckiej, to oczywiście między wierszami i oskarżeń prokuratora budowany jest obraz walczącego społeczeństwa, jako zbiorowiska zawodowych agentów, obraz czegoś w rodzaju społecznej "legii cudzoziemskiej" wynajmującej się do każdej awantury za niezłą cenę. Jako typ przeciwstawny zaś pokazuje się owego realistę t.j. takiego, który już zapomniał jak wygląda wolność i który nigdy już więcej nie pomyśli, że cała ta zgraja w Polsce warta jest stryczka.

Trudno nam klasyfikować oskarżonych. Są wśród nich tacy, którzy przyznają się przed prokuratorem, że właściwie całe życie cierpieli na niedorozwój umysłowy. Takie "zeznanie" padło niedawno na procesie WIN'u w Krakowie. Są inni, którzy całą winę zwalają z siebie na polskie ośrodki zagraniczne, służąc w ten sposób Związkowi Sowieckiemu za usprawiedliwienie jego totalnej polityki osadzania agentów. Z grubsza można było by wyodrębnić dwa typy celowo i umiejętnie przez Bezpiekę spreparaowane jako materiał na oskarżonych. Typ pierwszy: płk. Rzepecki z niezbyt dawnego procesu i typ drugi z ostatniego procesu w Krakowie — oskarżony Strzałkowski, sprowadzający polski opór i walkę o wolność do czynności zawodowego agenta wywiadu, którego dopiero prokurator bierutowego reżymu na rozprawie poucza czym jest prawdziwy obowiązek wobec ojczyzny.

Ten drugi cel ponurej farsy procesów — cel złamania charakteru polskiego, zarażenia przykładem Rzepeckich i Strzałkowskich jest sowiecką "naukową" zdobyczą wypróbowaną w ciągu lat na przeróżnych pokajaniach się z których ostatnim głośnym w Rosji jest zbiorowy akt literatów sowieckich wyrażający publiczny żal za przestępstwo zejścia z linii.

Pamiętać także należy i odpowiednie miejsce w rozważaniach na ten temat poświęcić trzeba wszystkim, którzy po cichu, *bez procesów* są likwidowani przez organy bezpieczeństwa, bo żadne naciski śledztwa ani tortury nie mogą wyrwać od tych ludzi przyznania się do zbrodni i upokarzania się przed okupantem. Wśród takich ludzi w ciągu paru lat nocy nad Polską znajdziemy wielki zastęp narodowców, przedwojennych działaczy Stronnictwa Narodowego, czy znanych z konspiracji członków organizacji narodowych. Z tym "wrogiem demokracji" bierutowskiej, komunistyczne urzędy bezpieczeństwa rozprawiają się daleko ciszej tylko z większą zaciętością. Ci bowiem ludzie niezłamani, pamiętają zawsze to, czego od przynależności do Narodu Polskiego wymaga dzisiejszy tak bardzo tragiczny stan kraju.

TYTUŁY "DZIENNIKA POLSKIEGO"

W "*Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza*", który zdawałoby się jest organem ogółu polskiego politycznego wychodźstwa a nie jednej tylko partii, czy grupy, czytamy ostatnio często o procesach politycznych w Polsce. Informacje o tym są czasem na pierwszej stronicy tłustym drukiem, z podaniem mnóstwa szczegółów pod wielkim, efektownym tytułem na pięć szpalt ; gdy zajrzymy do treści tych informacji, przekonamy się, że mowa w nich jest o procesach P.P.S. lub P.S.L. Czasem natomiast podane są gdzieś na szarym końcu numeru, w jednoszpaltowej, kilku lub kilkunastu wierszowej notatce, pod niepozornym tytułem ; przekonujemy się, że mowa w nich jest o procesach Stronnictwa Narodowego.

Jakie są przyczyny tej nierównomierności w traktowaniu tych procesów? — Rozpatrzmy po kolei różne możliwe hipotezy.

Hipoteza pierwsza: P.P.S. i P.S.L. są w życiu polskim zjawiskiem wielkiej wagi, a S.N. jest zjawiskiem bez znaczenia, — dlatego poświęca się jego ofiarom, działaniom i klęskom mało uwagi. c.d. na str. 12

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

L. B. Namier — FACING EAST (Spoglądając na Wschód). *Hamish Hamilton, London,* 1947. Stron 159. Cena 8s. 6d.

L. B. Namier jest profesorem historii nowożytnej na uniwersytecie w Manchesterze. Uchodzi za specjalistę od spraw Europy Wschodniej, bo urodził się i spędził młodość w Małopolsce Wschodniej. Ten Żyd małopolski później zmienił nazwisko i stał się jednym z wybitniejszych współczesnych historyków angielskich. Krytycy książek Namier'a zgadzają się co do jednego, że jest znakomitym pisarzem, że włada po mistrzowsku językiem angielskim, który przecież nie jest jego językiem ojczystym. Pisze jasno, przejrzyście, zajmująco, z polotem, a przy tym z zachowaniem pewnego dystansu od wydarzeń i faktów, które opisuje i omawia. Namier ma pozornie przynajmniej format mędrca.

Jest on jednak zwyczajnie ludzki w swych upodobaniach i predylekcjach, które zdają się zabarwiać jego sądy.

Namier jest jednym z głównych architektów niepomyślnej dla Polski opinii tego kraju, tj. W. Brytanii w sprawie polskich ziem wschodnich. On to bowiem w *Times*'ach zamieścił w początkach 1944 r. dwa artykuły, które znakomicie przygotowały grunt pod przyjęcie bez większych sprzeciwów decyzji teherańskich i jałtańskich w sprawie Polski przez brytyjskie koła polityczne, a tym bardziej przez szeroki ogół.

W trzy lata po ogłoszeniu owych artykułów autor przedrukowuje je bez jakichkolwiek zmian, bo uważa, że jednak pretensje rosyjskie w sprawie polskich ziem wschodnich były słuszne.

Ale jakby na osłodę Polakom formułuje dodatkowo swój pogląd na problem Polski. Ujmuje go w czterech punktach:

"1) Nowe 'ułożenie się' (a re-setting) Polski musiało być osiągnięte przez wycofanie rozproszonych mniejszości polskich na wschodzie i konsolidację terytorium polskiego, wyczyszczonego z Niemców, na zachodzie. Trzeba było położyć kres sytuacji, która mu siała doprowadzić, za kilku nawrotami, do odnawiania przymierza rosyjsko-niemieckiego. By Polska mogła żyć, musiała być zrównana na wschodzie z linią Curzona, musiała mieć podobną prostą linię na zachodzie i szeroki front nad Bałtykiem. Nie mogło być też żadnych enklaw polskich na zewnątrz ani wrogich enklaw wewnątrz Polski.

"2) Jest już obecnie za późno dyskutować nad tym, czy było rzeczą konieczną rozszerzać terytorium Polski po linię Odry i Nissy, czy też byłyby wystarczyły Prusy Wschodnie, Gdańsk i niepodzielony Górny Śląsk. Sprawa ta została rozstrzygnięta w Poczdamie i nie wystarczy dzisiaj zasłaniać się 'prowizorycznym' charakterem tej decyzji, który może zaspakajać tanią skłonność do zachowywania pozorów zewnętrznych — było by bowiem rzeczą bardziej uczciwą i ludzką, gdyby nadano temu układowi charakter ostateczny. Wówczas bowiem można było załatwić z Polakami sposób usuwania Niemców, podczas gdy 'prowizoryczne' załatwienie w gruncie rzeczy zmuszało ich do tworzenia 'fait accompli' za wszelką cenę i z jak najmniejszą zwłoką.

"3) To (tzn. 'fait accompli' — przyp. tłum.) zostało obecnie stworzone. Kwestionowanie tego może tylko wywoływać trudności dla Polaków (a nie przystoi temu krajowi przysparzać im cierpień), i budzić nadzieje i pragnienia wśród Niemców, których mocarstwa anglosaskie nie mogą zaspokoić. Sowiety jednak mogłyby to zrobić każdej chwili — na koszt Polski i za cenę nowego przymierza rosyjsko-niemieckiego. Mocarstwa anglosaskie może są w stanie uzdrowić Niemcy, tak że dojdą one do dawnej siły i apetytu. Jednak Rosja będzie mogła, kiedy tylko zechce, podwyższyć stawkę w grze o Niemcy, tak jak Niemcy mogły podwyższyć stawkę i przelicytować mocarstwa zachodnie w grze o Rosję w 1939 r. Przymierze rosyjsko-niemieckie dominowało by nad kontynentem europejskim i nad wielu innymi terytoriami poza Europą również; a obecnie jego odnowienie zależy wyłącznie od Rosji. Przymierze takie jest w najwyższym stopniu niebezpieczne dla świata, przynosiło w praktyce niezmiennie klęskę Rosji i okazywało się zabójcze dla Polski. Rozsądne rozgraniczenie sfer interesów służyło by lepiej celowi, niż te bezsensowne kłótnie, których świadkami jesteśmy obecnie podczas każdej konferencji międzynarodowej

"4) Mocarstwa anglosaskie nie mogą dotrzeć do Polski z zamiarem powiększenia, utrzymania czy mniejszenia jej terytorium, czy nawet celem zabezpieczenia prawdziwej jej niepodległości, jakkolwiek pożądanym by to było. Dlatego im mniej interweniują tam, gdzie nie mogą wystąpić czynnie i nie zamierzają tego czynić, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych."

Namier więc w swoim posłowiu radzi pogodzić się całkowicie ze stanem stworzonym na ostatnich wielkich trzech konferencjach angloamerykańsko-rosyjskich do Poczdamu włącznie. Ten historyk i ten "mędrzec" liczy się tylko z rzeczywistością siły, która w danym momencie jest górą. Odpowiada mu widocznie mechanistyczne rozwiązywanie problemów, na które składały się długie wieki naturalnej ewolucji.

Jeżeli na początku 1944 r. można było jeszcze mieć złudzenia co do rzeczywistych zmierzeń Kremla i koncesjami w postaci przyznania Rosji ziem na wschód od tzw, linii Curzona chcieć pozyskiwać jej zgodę na normalne wpółżycie międzynarodowe, to w 1947 r. doświadczenia zebrane nabrały już zbyt wyraźnej wymowy, by można się takim iluzjom oddawać. Nie można też przypisywać szczelnemu rozgraniczeniu etnograficznemu takiego znaczenia, jak to czyni Namier. Przecież gra toczy się o zgoła inną, znacznie wyższą stawkę. Nie chodzi już o taką czy inną granicę tego czy innego kraju, nie chodzi o sprawiedliwość etniczną, lecz o panowanie nad światem.

Czyżby Namier, historyk i myśliciel, tego nie dostrzegał? Czyżby zamykał oczy na to, co dzieje się w krajach satelickich Rosji i w wielu punktach Europy i świata, którymi Rosja interesuje się, bo leżą na linii realizowania jej zamiarów? Czyż nie zdaje sobie sprawy z tego, na czym te zamiary polegają?

Oto pytania, które nasuwają się nieodparcie, gdy czyta się przebrzmiałe już, nieaktualne wywody Namier'a na temat tzw. linii Curzona. Nie warto już polemizować z nieścisłościami i z tendencyjnością tych wywodów. Dzieło historyka zostało zdystansowane przez historię.

(m.ost.)

Czy tak jest? — Najlepszym sprawdzianem tego, czy jakiś ruch polityczny w jakimś kraju coś znaczy są wolne wybory Czy były w Polsce wolne wybory? Owszem, były. Były wybory do sejmu ustawodawczego w roku 1919 i były wybory sejmowe i senackie w r. 1922; dotyczy to również wyborów sejmowych i senackich z roku 1928 i 1930, a także *wszystkich*, aż po rok 1939, wyborów samorządowych.

W roku 1919 — Stronnictwo Narodowe wyszło z wyborów jako stronnictwo najsilniejsze, choć nie mające większości absolutnej.

W roku 1922 lista Stronnictwa Narodowego, połączonego z dwoma mniejszymi grupami (Chrześcijańsko-Narodowi i Chrześcijańska Demokracja) zdobyła większość absolutną wśród Polaków: 183 mandaty wobec 163 mandatów lewicowych i centrowych, obejmujących PPS, PSL-Piasta, PSL Wyzwolenie, komunistów i złączoną później ze Stronnictwem Pracy, Narodową Partię Robotniczą. Sytuacja została w ciałach ustawodawczych uratowana dla lewicy przez fakt obrania 87 posłów mniejszości narodowych, którzy poparli lewicę.

W roku 1930, jeśli nie liczyć 147 posłów i 76 senatorów BBWR siły prawicy i lewicy w ciałach ustawodawczych się równoważyły.

W latach następnych wpływy S.N. ciągle wzrastały. W yraziło się to w licznych wyborach samorządowych, zarówno w mieście, jak na wsi, w których S.N. zawsze nieodmiennie okazywało wielką siłą, a nieraz odnosiło druzgocące zwycięstwa, takie, jak w 1935 roku w wyborach do Rady Miejskiej w licznie przez Żydów i Niemców zamieszkanej robotniczej Łodzi, gdzie S.N. uzyskało więcej mandatów niż wszystkie stonnictwa polskie (sanacji nie wyłączając), żydowskie i niemieckie razem wzięte. Albo jak 18 grudnia 1938 do Rady Miejskiej w Poznaniu, gdzie zdobyło 52 mandaty wobec 20 mandatów wszystkich pozostałych stronnictw razem wziętych (w czym 1 mandat PPS).

Innym sprawdzianem poza wyborami był udział w ruchu podziemnym w czasie wojny. Jak wiadomo S.N. wystawiło więcej podziemnego żołnierza, niż wszystkie inne polityczne stronnictwa razem wzięte. Hipotezę tę należy więc odrzucić.

Hipoteza druga: Stronnictwo Narodowe nie zasługuje na zainteresowanie, bo nie ma wyraźnej politycznej postawy.

Ale Stronnictwo Narodowe nie wydało z siebie ani Mikołajczyka, ani Cyrankiewicza. Należy więc i tę hipotezę odrzucić.

Hipoteza trzecia: Stronnictwem Narodowym nie interesują się czytelnicy, gdyż na emigracji nie ma jego zwolenników, natomiast emigracja roi się od ludowców i socjalistów. Sądzimy, że i ta hipoteza grzeszy pewną przesadą.

Hipoteza czwarta: Być może, "*Dziennik*" jest organem rządu i wyraża jego sympatie a w rządzie zasiadają PPS i PSL, natomiast nie zasiada S.N. — Otóż o ile dobrze jesteśmy poinformowani, jest raczej odwrotnie.

Jakąż można jeszcze hipotezę wysunąć? — Chyba żadnej.

Treść

Nr. 114 (*Rok VII*, *Nr.* 9) **"Myśli Polskiej"**

"MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie,
ukazuje się raz w miesiącu.
Redakcja i Administracja:
8 Alma Terrace, Allen Street,
London, W.8. Tel. WEStern 1797.

Prenumerata półrocznie (6 numerów)
12s. lub $4.
Prenumerata rocznie (12 numerów) —
£1. 4s. 0d. lub $8.

Printed for "Myśl Polska" by F. Mildner & Sons, Herbal Hill, Clerkenwell Road, London, E.C.1. September, 1947.